

Skwarczyńska, Stefania

U źródeł autobiografii naukowej

Kwartalnik Historii Nauki i Techniki 32/2, 279-312

1987

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Stefania Skwarczyńska

U ŹRÓDEŁ AUTOBIOGRAFII NAUKOWEJ*

Zaszczyczona propozycją „Kwartalnika Historii Nauki i Techniki” skreślenia swojej autobiografii naukowej chciałam w pierwszym odruchu — zażenowana tym zaszczytem — przed tym się uchylić. Ale po głębszym namyśle doszłam do przekonania, iż jeśli rzeczywiście moja praca naukowa przedstawia jakąś obiektywną wartość — to przecież zasługa przypada, i to przede wszystkim, nie tylko mnie samej, ile tym, którzy mnie w kulcie prawdy, piękna i wiary w zwycięską przyszłość mojej Ojczyzny wychowali i którzy wspomagali — także inicjatywnie, i to nieraz w skomplikowanych sytuacjach życiowych i historycznych — mają wrodzoną pasję do zdobywania wiedzy i jej uprawiania w praktyce twórczej. Oczywiście — jeszcze dzieckiem rwałam się do książek nawet poważnych — toteż tym bardziej historię swego duchowego i intelektualnego rozwoju zacząć mi przychodzi od źródeł rodzinnych.

Urodziłam się w Kamionce Strumiłowej, gdzie ojciec mój, Mieczysław Strzelbicki, był starostą — dnia 17 listopada 1902 r. Z czasem dowiedziałam się, że moja matka, Maria ze Scibor-Rylskich, a także i ja sama, byliśmy wówczas obie u progu śmierci. Byłam jej pierwszym dzieckiem, a po urodzeniu czwartego zmarła w połowie stycznia 1908 r. — nagle osierocając tragicznie czworo małych dzieci; a także zakochanego w niej męża — oraz dwa gospodarstwa, bo nie tylko w Kamionce Strumiłowej, ale także w Dąbrówce Polskiej koło Sanoka, którą odziedziczyła była po swej stryjence, Zygmuntovej Scibor-Rylskiej. Żywo pamiętam jej rozmach gospodarski — i w Kamionce, i w Dąbrówce Polskiej, nie mówiąc już o rozmachu domowym i własnoręcznym obszywaniu dzieci, a także o haftach na salonikowych krzeselkach. Atmosfera pracy — zarówno praktycznej, jak i artystycznej — była tym, co dzieci wchłaniały od niemowlęcia. A także nigdy nie zapomnę jej przysłowiowo pięknej ręki,

* Tekst przygotowała do druku Irena Stasiewicz-Jasiukowa.

podejmującej rano i wieczór moją dziecinną rączkę dla znaczenia nią znaku Krzyża. Praca, piękno, wiara — oto, co zdołała nasza matka zakotwiczyć — choćby elementarnie — w swoich dzieciach — tak nawet małych swoich dzieciach.

Ona sama pochodziła ze zbiegłej — po pożarze domu i jakiejś wytwórni swoich rodziców — rodziny, tak zbiegłej, że ją samą, jak i czworo jej rodzeństwa, rozdzieliła pomiędzy siebie i jej dalszą rodzinę, zresztą zawsze zazdrosna o przywiązanie dzieci do ich własnych rodziców. Ród Scibor-Rylskich nie ograniczył się jednak w swej ekspansji rodzinno-społecznej do wychowawczej opieki nad dziećmi moich dziadków po matce, a więc Stanisława i Stefanii z Bronikowskich Scibor-Rylskich. Rozsiadł się on w swym rozgałęzieniu w sporej ilości dworów, dworków, miejskich posiadłości — zwłaszcza Ziemi Sanockiej i w jej sąsiedztwach. Ale charakteryzowała go nie tylko jego praca rolniczo-ziemiańska, lecz również porwy patriotyczno-szlacheckie. Jeszcze do konfederacji barskiej należał Scibor-Rylski z Pisarowiec, później zesłaniec poprzez całe lata. Oczywiście, nie brakło moich przodków po mieczu i po kądzieli w naszych narodowych powstaniach; Stefan Garczyński, brat jednej z moich prababek, poeta, uczestniczył w powstaniu listopadowym; stracił w nim ostatecznie zdrowie, zanim mu przyszło odejść z tego świata, a to za polską granicą — na rękach Mickiewicza i Klaudyny Potockiej. A nasi antenaci walczyli nie tylko pro bono swej Ojczyzny, Polski skreślonej z mapy Europy. Zwłaszcza młodzież z tego rodu paliła się do uczestnictwa w walkach krajów zagrożonych — jej zdaniem — w swej wolności. I tak — ponoć w roku 1848 — kilku młodych Rylskich przekradło się poprzez góry do Węgier, aby pomóc sąsiadom w walce o ich państwową samodzielność.

O tych i innych różnych sprawach rodzinnych mówiło się dzieciom od najmłodszych lat. Może nawet to bolesne napięcie patriotyczne wzmogło się jeszcze, gdy po zgonie mojej matki zgodziła się wychować całą czwórkę jej dzieci cioteczna jej siostra, Maria Parczewska, starsza już panna, osiadając rodzinie w domu swego szwagra. Zwłaszcza była ona nasycona emocjonalnie tragedią powstania styczniowego. Do dziś dnia snują mi się w pamięci bolesne pieśni patriotyczne, którymi usypiała moich braciszków; najbardziej skutecznie usypiała ich pieśnią listopadowo-styczniową:

„Lecą liście z drzewa, co wyrosło wolne,
W polu kędyś śpiewa jakieś ptasze polne —
Nie było, nie było, Polsko dobra, tobie —
Wszystko się skończyło, twoje dzieci w grobie”

Oczywiście, wstrząśnięta do głębi niedolą Ojczyzny, która już zniknęła z mapy Europy, nie sypiałam nocami przez całe godziny, a to snując marzenia, układając prośby „do Bozi” o Polskę żywą po dawnemu i obiecując Bogu za spełnienie tej prośby wszystko, co dzieciak potrafi obiecać,

ale co mnie do dziś dnia zobowiązuje... Tak więc powstało we mnie wówczas obok rzeczowo-intelektualnego odniesienia do Ojczyzny — odniesienie do niej gorąco uczuciowe, co oznacza, iż wykluczało ono, także w przyszłości, jakieś grymasy na taki czy też inny kształt polityczny jej odrodzenia.

Moja rodzina po mieczu, a więc Strzelbiccy, była w swych antenach — i to nie zamierzchłych — wyraziście polsko-ruska, a może rusko-polska. W każdym razie pradiadowie mego ojca byli obrządku greckokatolickiego, i to duchowymi, z tym, iż ich żony — i to bodaj wszystkie przez szereg pokoleń — pochodziły z polskiej szlachty, z dworów lub dworków. O ile wiem, dopiero dziadek mego ojca zerwał z rodzinną tradycją stanu duchownego, przeszedł na obrządek rzymsko-katolicki, i wyłącznie, a serdecznie, stał się narodowo Polakiem. Wydaje mi się jednak, iż aura religijna w mojej rodzinie niejedno zawdzięcza — poza pamiątkami artystyczno-religijnymi — właśnie tradycji rodu mego ojca, aczkolwiek on sam — ot, pozytywista — nie tyle, jak wówczas mawiano, „chodził w niedzielę do kościoła”, co „towarzyszył żonie w kościele”.

Ale to swoiste komplikacje narodowo-religijne mego ojca, komplikacje, które wymagały w imię zgody-pewnych ustępstw, wsparły — mam takie przeświadczenie-uderzającą u mego ojca polityczną orientację demokratyczną, swoisty zapęd do socjalizmu; pociągał go szczególnie świat robotników — i to także towarzysko. Zjawisko to godne jest uwagi, także ze względów historycznych. Warto je przypomnieć, choćby w niewielu słowach.

Ojciec mój po zgonie swojej żony nie był w stanie przebywać nadal w Kamionce Strumiłowej. Toteż z prośbą o przeniesienie go gdzie indziej zwrócił się do samego namiestnika. Namiestnik Potocki nie miał jednak do dyspozycji jakiegoś „osieroconego” starostwa poza jednym — wyjątkowo trudnym w kierownictwie, a mianowicie w Nowym Sączu. Trudnym zaś, bo burzliwym, nieustannie buntowniczym. Przyczyną burzliwych wydarzeń i nieustannego niepokoju byli robotnicy kolejowi-socjaliści. Nie umiano dać sobie z nimi rady, dojść do jakiegoś porozumienia. Ojciec mój jednak bez chwili wahania przyjął tę trudną placówkę. W ciągu miesiąca przenieśliśmy się do wspaniałego „starościńskiego” apartamentu w nowosądeckim gmachu starostwa; i to w miesiąc zaledwie przed 1 majem. A więc przed oczekiwanym pochodem robotników, czyli przed już tradycyjną ich rozgrywką z policją. Otóż mój ojciec, zaraz po objęciu urzędowania, zwrócił się był do „panów braci” kolejowych-socjalistów z propozycją, iż starostwo wycofa w czasie pochodu policję, ale pod warunkiem, że rolę policji obejmą oni sami, robotnicy, i w ten sposób zapewnią starostwu porządek i uroczysty spokój. W rezultacie tej propozycji doszło do sensacji: pochód odbył się w nastroju podniosłym, pełen był śpiewów robotniczo-politycznych, z muzyką kolejową, a sunął po głównej arterii

komunikacyjnej miasta — od stacji kolejowej, wzdłuż frontu starostwa, a dalej obok rynku, obok klasztoru OO. Jezuitów — niemal aż po most na Dunajcu... Nastrój był podniosło-uroczysty; nie było ani jednej bójki ani awantury...

I odtąd kolejarscy robotnicy bywali często w starostwie. Ponieważ biuro służbowe mego ojca łączyło się bezpośrednio z naszym mieszkaniem, ojciec mój, gdy przychodził do niego jakiś kolejarz ze swoimi sprawami, zapraszał go do swego prywatnego pokoju lub też obok-do naszego domowego salonu na herbatę z jakimiś słodyczami. I co więcej: zaznajamiał swoich gości ze swą najstarszą córeczką, a więc ze mną, przedstawiał mnie swemu gościowi o ogromnych wąsach, który podawał mi rękę serdecznie nią potrząsając. A zatem wzrosłam za czasów „starostwa” mego Ojca w Nowym Sączu na pełną podziwu przyjaciółkę socjalistów — a ten ówczesny uczuciowy zapęd ideowo-społeczny, który zawdzięczam swemu ojcu, pozostał we mnie żywy aż po dziś dzień.

Ale ówczasie potrafił gorszyć. Jako 10-letnia uczennica w klasie I gimnazjum żeńskiego w Nowym Sączu napisałam w dniu 1 maja na tablicy wielkimi literami przed lekcją niemieckiego: „Heute ist der erste Mai /Alle Schüler bitten frei”. Nasz profesor germanista, wszedłszy do klasy zdębiał, spurpurowiał i rozgniewany zapytał: „Kto to napisał?”. Po krótkiej chwili milczenia, wypełnionej zgrozą, wstałam, by powiedzieć: „To ja”. A więc córeczka pana starosty... Profesor popatrzył z przerażeniem. I zamilkł.

Ale mojemu ojcu zawdzięczam nie tylko podbudowę ideowo-światopoglądową — ukierunkowaną na przyszłość polityczną późniejszego, bo dzisiejszego świata. Zawdzięczam mu również rozkochanie w świecie piękna, w świecie literatury, sztuki i nauki o sztuce.

Był on szczególnie miłośnikiem sztuki i wiedzy o niej. Kochał się zwłaszcza w malarstwie; zbiór jego obrazów zarówno w naszym mieszkaniu w Nowym Sączu, jak i w naszej Dąbrówce Polskiej, był zaiste imponujący. Ale po pierwszej wojnie światowej, która niemal do ruin rozburzyła dopiero co odnowiony dwór w Dąbrówce prawie nic nie pozostało z obrazów, a także niewiele ze starych, sięgających nawet poza XVIII wiek, mebli, które ojciec mój wydobył ze strychu i odnowił; ot, sekretarzyk, klęcznik, kanapa i fotele wykonane z przedziwnych korzeni, antyczne, stoły i stoliki; tu późny renesans, tam z XVIII wieku „Ludwiki”, ówdzie napoleońska era z egipskimi motywami, także romantyczna meblowa „zwiewność”. Mało pozostało również po tej wojnie w Nowym Sączu ze starych obrazów i mebli, w Nowym Sączu, który nam przyszło opuścić na okres wojennej okupacji. Niekiedy udawało się ojcu zdobyć jakiś antyk, a to drogą zakupów we Lwowie za pośrednictwem swej przy-

ciółki z młodych lat, pani Heleny Dąbczańskiej — owej „dziwo-pani” rozmówanej w starym pięknie, ofiarodawczyni — jeszcze przed pierwszą wojną światową — renesansowych mebli dla Wawelu, mebli które, mówiąc nawiasem, ponoć przepadły w toku pierwszej wojny światowej, nie doczekawszy się odrodzenia Polski i narodowych trosk o restaurację Wawelu. O rozkochaniu w sztuce naszego ojca świadczył też abonament różnych wydawnictw dotyczących sztuki. Przede wszystkim owo wydawnictwo zeszytowe z tekstem polskim, z barwnymi odbitkami dzieł malarskich, w układzie — jeśli się nie mylę — historycznym. Studiowałam je z pasją od chwili, gdy nauczyłam się czytać, podobnie jak dzieła dotyczące w szerokim rozumieniu polskiej kultury — w historycznym toku jej rozwoju — na wsi, w dworach szlacheckich, w magnackich dworach. Przede wszystkim jednak stałam się namiętną czytelniczką dodatku do obowiązkowej dla galicyjskiego starosty „Gazety Lwowskiej”, dodatku do niej miesięcznego pt. „Przewodnik Naukowy i Literacki”. Dziś mnie samej trudno uwierzyć, by dziewczynka w pierwszym dziesiątku swoich lat była w stanie — siedząc „w kucki” na podłodze koło kaflowego pieca i etażerki z książkami — rozkoszować się historią literatury, uwielbiać osobowości literackie — od Sienkiewicza po Deotymę. Ale dziś mi się wydaje, że uzyskana w ten sposób wiedza o literaturze wyznaczały mi mój późniejszy los — naukę o literaturze. W każdym razie jako uczennica I klasy w sądeckim gimnazjum „dopowiadałam” koleżankom różne literackie informacje w odniesieniu do obowiązkowych czytanek.

Ale nie tylko polska literatura stała się wówczas moją pasją; także literatura — oczywiście dziecięco-młodzieńcza — kultura i historia Francji. Nic dziwnego, iż wychowująca nas w zastępstwie matki ciotka, a poprzednio nauczycielka w wielkopańskich domach, uważała za swój obowiązek i nas wychowywać na modłę arystokratyczną. Odebrano mi, niestety, pracę w gospodarstwie domowym na rzecz nieodstępowania bony, potem nauczycielki francuskiego wprost z Paryża, co doprowadziło mnie szybko do „parlowania” po francusku oraz do rozczytywania się w książkach i czasopismach francuskich — zresztą oczywiście, obok polskich. A więc niemal cała „Bibliothèque rose” pani de Ségure, a więc poważniejsze czasopisma, zacząwszy od „Semaine de Susette”, a skończywszy na tzw. pismach młodzieżowych. A że nasza „ciocia” nie umiała się nagiąć do „prostackiego” posyłania nas do szkoły powszechnej, wybrała coroczne posyłanie nas do niej dopiero na końcowy egzamin. Wiedzę obowiązującą w zakresie tych klas, przekazywała nam przychodząca do nas nauczycielka, a że w klasie III obowiązywały już początki języka niemieckiego, którym ona dobrze władała, przyszło mi i mojej siostrzyczce zaznajomić się z wierszami nie byle poetów — od Goethego i Schillera począwszy. W programie dydaktycznym mojej ciotki leżało wpoić dzieciom także „angielszczyznę”, ale nieco później. Owo moje „później” wypadło tuż po I wojnie

światowej; ciotka lekcje te zorganizowała, ale warunki materialne i sytuacyjne jakimś solidnym osiągnięciom wówczas nie sprzyjały.

Tak się jednak złożyło, iż z Francją i z Niemcami, a ściślej — z Austrią — zaznajomiłam się bliżej dzięki znajomości języków francuskiego i niemieckiego. Otóż na parę lat przed I wojną światową ojciec mój ciężko zachorował, a lekarze utrzymali go przy życiu istnym cudem, bo wysłaniem na kilka miesięcy na południe. Ciotka postanowiła nie spuścić go samego w tak daleki świat, a że „nie wypadałoby”, aby sama z nim jechała, zdecydowała, iż wyjadą oboje z nami — z czworgiem dzieci... Droga wiodła przez Wiedeń, Wenecję do Nicei. A że miałam już 9 lat, ojciec uznał, iż mogę poznać i ocenić od strony historycznej, kulturowej i artystycznej wielkość i piękno tego nie znanego mi świata. Po ukazaniu mi we Wiedniu kościoła św. Szczepana („twój patron”, powiedział ojciec), zawiózł nas wszystkich na Kalenberg — do skromnej kapliczki, w której się modlił był Jan Sobieski przed pogromem Turków. Potem muzea, parki, gmachy... Po paru dniach Wenecja, w której mój ojciec był razem z moją matką przed paru laty. A więc teraz pokazywał mi kościół Św. Marka, plac Św. Marka, „most westchnień”, pałac dożów, muzea, gmachy — obrazy i rzeźby.

Wędrowkę po Wiedniu i Wenecji, rzut oka na Genuę i urok morza w Nicei utrwaliłam w ówczesnym swoim pamiętniku, który przepadł w ostatniej wojnie jak wiele innych pamiątek.

Dzięki swobodnemu „paplaniu” po francusku miłe były zabawy z francuskimi dziećmi w nicejskiej willi między morzem a górami... aż do czasu — o, tragedia! — kiedy wszystko czworo naraz rozchorowaliśmy się na koklusz. Tyle dobrego, że przed tym wystarczyło jeszcze trochę czasu na wycieczkę do Cannes, na wcale dokładne poznanie Nicei, na zwiedzenie wytwórni artystycznej porcelany, a także na podziw dla wiosennych kwiatów tuż pod górami czy na pagórkach „vis-a-vis” z morzem.

Lata zapoznawania się ze światem poprzez lekturę w kilku językach, oraz poprzez zbiory sztuki i kultury nie tylko we własnym kraju stały się zarazem okresem pierwszych dziecięcych i dziewczęcych prób własnego „tworzenia”. Wspomiany już pamiętnik był pokłonem zachwytu dla Boskiego ludzkiego dzieła — dziwnego w swej piękności. Ale już przedtem i nieco dalej potem nie brakło w dziecięcym i dziewczęcym również dorobku-wierszyków i wierszy: zasypywałam nimi każdorocznie ojca imieniny, nie szczczędając również dla nich własnej malarskiej oprawy. Zapragnęłam także — zaledwie siedmioletnia dziewczynka — uprzywilejować polskim dzieciom opowieść madame de Ségure o tytule *Les petites filles modèles*, a więc coś jak „wzorowe dzieci”; przełożyłam z języka francuskiego około dwóch rozdziałów.

Tak więc lata zapoznawania się ze światem poprzez lekturę w kilku

językach, poprzez zbiory dzieł sztuki i kultury — i to nie tylko we własnym kraju — stały mi się zarówno źródłem wielorakiej wiedzy jak i gruntującego się już wówczas przeświadczenia, iż człowiek po to zjawia się na ziemi, aby obdarzać innych ludzi osiągnięciami swojej twórczości. Niebawem zarysował mi się ten dar jako obowiązek poznawczej twórczości... Mniejsza z tym, że wahałam się wówczas w wyborze odnośnej dyscypliny między chemią a literaturą. Do rozstrzygnięcia tej sprawy doszło jednak nieco później. Na razie wybuchła I wojna światowa, ale już w jej toku dokonałam wyboru. Zdecydowałam się na naukę o literaturze, bo literatura lepiej mogła służyć w moim ówczesnym wyobrażeniu odradzającej się państwowo Polsce — poprzez ukazanie światu swej duchowej wielkości i godności — niż chemiczne pierwiastki.

Zwycięski początkowo napór Wschodu na Austro-Węgry, a więc i na Galicję, wzburzył jej ludność, zwłaszcza polską. Wyraziło się to na razie wyjazdem ze Lwowa i innych miast sfer urzędniczych, oczywiście głównie polskich, jak też ziemiaństwa polskiego, zwłaszcza zamożnego. W rezultacie u mego ojca pojawiło się mnóstwo osobistości urzędowo i wojskowo ważnych, ale także tzw. „uciekierów”, zwłaszcza zamożnych, wśród których nie zabrakło także dawnych znajomych, a nawet powinowatych. Mój ojciec starał się wszystkim jako tako pomóc, w konsekwencji czego bywało zaproszenie na noclegi, na posiłki. Miejscem zbornym stał się starościński salon. Niekiedy ojciec mnie przywoływał, aby przedstawić „seniorom” i familiantom. Do dziś dnia wspominałam, że w taki sposób poznałam Adama Krechowickiego, a więc redaktora „Gazety Lwowskiej”, a zwłaszcza — bo to było moją pasją — „Przewodnika Naukowego i Literackiego”. Siwy, dostojny Pan... Powieściopisarz...

Ale i do Nowego Sącza zbliżyła się bezpośrednio wojna. Ojciec jako gospodarz regionu miał tu zostać aż do ostatniej chwili przed wejściem do miasta nieprzyjaciół. Ale swoją rodzinę postanowił już wcześniej wyewakuować. Nasza czwórka z ciocią wyjechała via Budapeszt do Ischlu. Skromiutko, ubogo, przeżyło się w jednym pokoju w tej cesarskiej letniej rezydencji, pustej już zimą, do przyjazdu ojca. Przeniósł nas on wiosną do Gmunden — nad rozległym jeziorem, otoczonym Alpami. Bodaj że zwabiła go tam obecność przyjaciela od lat dziecięcych, syna Kornela Ujejskiego, Romana, który tam się schronił na czas wojny wraz ze swoją rozległą rodziną. Tam też ciotka zapisała moją siostrzyczkę, Jankę, i mnie do gimnazjum prowadzonego przez zakonnicę — „Kreuzschwestern”, leżącego nad samym jeziorem, a opatrzonego internatem, w którym przebywały głównie austriackie arystokratki. Z marzeń naszej ciotki, abyśmy się wprawiły wzorowo w tej szkole w język niemiecki, niewiele wyszło, bo — jak się okazało — zakonniczkom szło o wprowadzenie owych arystokratek w język francuski i jego to od nas się one uczyły. A w język

niemiecki wprawiałyśmy się obie z siostrzyczką dzięki rozczytywaniu się zwłaszcza w niemieckich poetach.

Dużym przeżyciem dla mnie stało się zaznajomienie ze szkolnym podręcznikiem historii Austrii, w którym wyczytywałam — wbrew temu, czego nas uczono i w szkole — że Sobieski zjawiał się być pod Wiedniem spóźniony, a zwycięstwo nad Turkami nie było jego dziełem, lecz cesarza Austrii. Ta krzywda wyrządzona podeptanej Polsce odbieraniem jej nawet historycznych zasług, a zarazem zadziwiająca chytrość w ustalaniu prawdy, stały się dla mnie poważnym uderzeniem w traktowanie za prawdę wszystkiego, co nam podają do wierzenia ludzie i książki. Bodaj, że ta dotkliwa sprawa pouczyła mnie o wadze krytycyzmu w orzeczeniach naukowych.

Przebieg wojny sprawił, iż Nowy Sącz powrócił po pewnym czasie do swej dawnej sytuacji polityczno-społecznej. Tym samym mój ojciec mógł wrócić na swoje stanowisko starosty w Nowym Sączu, a więc i my razem z nim wróciliśmy do kraju. Oczywiście, warunki życia w porównaniu z przedwojennymi i wczesnowojennymi okazały się bardzo trudne; i to nie tylko ze względu na buntownicze zrywy ludności, ale także z powodu podstawowych braków w wyżywieniu. Spędziliśmy wówczas jeszcze kilka lat w Nowym Sączu, w czasie których ukończyłam klasę III, IV i V oraz zdobyłam początki angielszczyzny od miłej Pani, Węgierki, „ex-freiliny” na królewskim dworze w Budapeszcie. Po przejściu ojca na emeryturę przenieśliśmy się na stałe z Nowego Sącza do naszej Dąbrówki Polskiej pod Sanokiem, gdzie zdołał już nasz ojciec doprowadzić do pewnego odbudowania zniszczonego podczas wojny dworu. Życie na wsi nie było łatwe, bo niewielka była emerytura ojca, a dochód z samej Dąbrówki wynajętej — poza ogrodem i dworem — był nikły. Była to jednak dobra szkoła — ważna dla przyszłości — zadowolonia się niemal istną biedą. Entuzjastycznie przeżywaliśmy powrót Polski na mapę Europy — dziwiąc się, iż sprawa tak wielka i radosna mogła wywołać wówczas tyle sprzecznych wobec niej różnych poglądów i politycznych postaw.

Równocześnie my, dzieci nie powołane do polityki „zaludniliśmy” w Sanoku gimnazjum męskie — z tym, iż moi bracia znaleźli się w dwóch niższych klasach, a moja siostra i ja — za zgodą władzy szkolnej — w charakterze „dochodzących” do męskiego gimnazjum i zobowiązanych do egzaminów na końcu każdego roku szkolnego. Siostra znalazła się w klasie V, a ja w VI. Do szkoły w Sanoku chodziliśmy przeważnie piechotą. Tam cała nasza czwórka zdała maturę.

Trzyletni pobyt w gimnazjum sanockim był dla mojego rozwoju intelektualnego i dla mojego rozkochania w literaturze wyjątkowo przychylnym. Jest to niewątpliwie zasługa moich wybitnych tam nauczycieli, ale także i gimnazjalnej biblioteki — wyjątkowo wspaniałej, obfitej i mądrze zorganizowanej. Przede wszystkim dysponowała ona poważnym zasobem dzieł

literackich i dzieł o literaturze oraz o kulturze — i to nie tylko dziełami polskimi; my, młodzi, mieliśmy do dyspozycji zarówno dzieła polskie oraz łacińskie i greckie, jak dzieła poetów niemieckich — w dobrych, naukowych wydaniach; znajdowały się tam także książki francuskie, a sporadycznie i w innych jeszcze językach.

Intensywne korzystanie z biblioteki obdarzyło mnie rzutem oka na konkretne utwory w różnych krajach, a nawet — po części i w różnych częściach świata. A przy tym pouczyło mnie o istotnym w badaniach literackich warunku opracowania rzeczowego twórczych osiągnięć pisarzy-literatów. Na sobie samej zaobserwowałam sposoby wchłaniania ich wywodów — i z wolna, ale uparcie, zaczęła mi się ujawniać różnorodność traktowania i literatury i historii, która ją zrodziła. W rezultacie — już zdecydowanie, bo także w sumieniu — zdecydowałam się wówczas na uniwersyteckie studia literackie. Zaczęłam przy wchłanianiu utworów rozważać, co i jak przejęły one z właściwości własnej kultury narodowej, a także ogólnie — z kultury epoki, i zarazem próbować wysupływać z rozpatrywanych utworów elementy rzeczowe i formalne jakby dotąd niezbyt jasno w nauce wydobyte, jakby nie dość określone w swej istocie i w swych związkach z rzeczywistością, a ważne, bo przecież kształtują one orientację czytelnika na zmienność w czasie świata i na swoistą przebudowę w historii świadomości człowieka. Poglądom tym, iż zmienność jest naturą trwania i rozwoju, poglądom, które z czasem legły u fundamentu moich naukowych badań, dawałam ujście w rozmowach z kolegami, a co najważniej w zadaniach szkolnych. W sposób ideowo-wybuchowy ujawniły się one w moim zadaniu maturalnym, śmiało rozpatrującym filozoficzno-ideowe poglądy Słowackiego w *Genezis z Ducha*. Wówczas w ogóle jakoś nie ogarniał mnie lęk przed śmiałością myśli. Dało to o sobie znać — acz bez mego szczegółowego zażenowania — dopiero w niedalekiej uniwersyteckiej przyszłości. Owa śmiała próba spojrzenia na badane dzieło przede wszystkim pod kątem widzenia jego ówczesnej, gdy powstał, oryginalności, bo nowości, z jej wyniesieniem w sztuce do rangi nie tylko estetycznie nowej bo trwałej; owa próba wymagała pewnego ryzykownego trudu, a mianowicie umiejętnego dopatrzania się w tej przeszłości owej nowości, którą czas może zdołał swoiście sponiewierać, spychając ją w przebrzmiałość epoki, w starczą dawność. Ale badacz powinien ją odnaleźć, uznać, ocalić od późniejszego zbanalizowania. Takie zadanie poznawcze obowiązuje nie tylko historię literatury, ale także teorię literatury.

Obok takich przemyśleń-nastawionych już wtedy na założenie badań naukowych — owe trzy lata w sanockim gimnazjum dały mi sposobność podjęcia jeszcze innych zadań. Z jednej strony były to poważniejsze już próby jakiejś pracy literackiej, z drugiej-wymyślanie i organizowanie działań społecznych, które miały pomóc naszej odrodzonej ostatnio jako państwo Ojczyźnie w jej rozwoju ku wielkości...

A więc z jednej strony pisywało się wiersze i opowiadania. Doszło nawet do kompozycji niezbyt udanego poetyckiego tworu dramatycznego w duchu harcerskim, który, oczywiście, nie zasłużył na inscenizację w naszym gimnazjum. Lepiej powiodło się innym inicjatywom społecznym. Otóż, pełna zapału, porwałam się na instytuowanie w naszej szkole kilku śmiałych przedsięwzięć. Pierwszym z nich było „założenie” koła organizującego odczyty w niedzielę — a to odczyty już nie naszych nauczycieli, lecz poważnych „panów z miasta”; chodziło o rozszerzenie horyzontów życia społecznego poza programem gimnazjalnym. Odbyło się, owszem, kilka takich odczytów z dziedziny prawa, historii, nawet służby zdrowia. Aby nie ograniczyć młodzieży do roli tylko biernej, my, dziewczęta, „założyłyśmy” koło koleżeńskie o nazwie: „Jaskółka”. A miała ta nazwa w sobie coś ze społecznej ideologii Konopnickiej, lecz przede wszystkim wiązała nas ze skrzywdzoną chatą wiejską, z biedotą skazaną na podrzędną pracę w miastach. Każda z „jaskółek” była zobowiązana do podjęcia pewnej konkretnej pracy z jakąś grupą wiejskich lub miejskich pokrzywdzonych losem młodych istot — czy to w takiej wsi jak Dąbrówka, czy to w mieście jak Sanok, gdzie nie brakowało młodych służących z okolicznych wsi. Nie szczędziłyśmy zachęty naszym „podopiecznym”: tu koszyk z jabłkami, tam kolorowe obrazki, nawet ilustrowane książki i książeczki. Co więcej: my, „jaskółki” założyłyśmy czasopismo poświęcone naszym społecznym zadaniom, oczywiście pod tym tytułem: „Jaskółka”; równie oczywiste, iż było ono odręcznie pisane, a „nakład” nie przekraczał chyba 12 egzemplarzy. Koło „Jaskółka” i gazetka pt. „Jaskółka” trwały pod moim kierunkiem ze dwa lata. Po mojej maturze przejęła te funkcje moja siostra, Janka, ale gdy po roku i ona odeszła po maturze z gimnazjum, wszystkie te inicjatywy jakoś przepadły.

*

* *

Marzyłam o uniwersytecie, ale nie ośmielałam się prosić o to szczęście. Jednak mój ojciec — mimo wielkich trudności finansowych — wyzbył się osobiście wszystkiego, aby móc mi umożliwić studia uniwersyteckie. Pomogli mu w tym mieszkający we Lwowie moi wujostwo — Józefowie Skwarczyńscy — godząc się na minimalne honorarium za znamiennie dla tamtych czasów skromne moje wyżywienie oraz za noclegi na kanapce w jadalni. Oczywiście, starałam się z tych wszystkich dobrodziejstw korzystać jeszcze bardziej powściągliwie.

Natomiast bynajmniej nie powściągliwie zarysowałam sobie zajęcia uniwersyteckie już — i to przede wszystkim — na pierwszym roku studiów. Bo któż mógł przewidzieć, czy w następnych latach nie nastąpią jakieś trudności? Tak się też stało.

Zapisałam się na polonistykę i ronanistykę, na literaturę — w ramach powszechnej — porównawczą; na językoznawstwo — nie mówiąc już o wykładach z filozofii.

Ponieważ jeszcze w gimnazjum przejęły mnie zachwytem dzieła prof. dra Juliusza Kleinera, główną linię swoich studiów z nim związałam. Zaczęło się to na jego ćwiczeniach proseminaryjnych, wprowadzających w podstawy pracy naukowej; ale oczywiście, nie opuściłam ani jednego jego wykładu dotyczącego romantyzmu. Wiernie chodziłam również na wykłady o średnio-wiecznej literaturze polskiej prof. dra Wilhelma Bruchnalskiego, z którym, jak też z którego domem, niebawem się gorąco zaprzyjaźniłam. Bywałam także na wykładach ówczesnie docenta dra Kucharskiego — oczywiście o Fre-drze, a także miałam szczęście niezwykle, bo jeszcze mogłam uczęszczać na ostatni uniwersytecki semestr wykładowy prof. dra Jana Kasprowicza, uwielbianego przeze mnie poetę. W zakresie romanistyki odbyłam ćwiczenia u prof. dra Zygmunta Czernego oraz wysłuchałam jego wykładu bodaj że o francuskim romantyzmie; uczestniczyłam w jego ćwiczeniach z literatury francuskiej, a przede wszystkim po zdaniu kolokwium z gramatyki historycznej romańskiej, zostałam przyjęta przez prof. dra Edwarda Porębowicza, wielbionego wówczas tłumacza *Boskiej Komедii* Dantego, na jego seminarium filologii romańskiej — ostatnie w jego uniwersyteckiej działalności. Podstawy językoznawstwa zdobyłam na seminarium, które prowadził-wraz ze swymi współpracownikami — prof. dr Tadeusz Lehr-Splawiński. Na wykłady ze wszystkich dyscyplin filozoficznych prof. dra Kazimierza Twardowskiego chodziło się wiernie o godzinie siódmej rano, starając się zadowolić jego życzenia, opierające się na dydaktycznych doświadczeniach.

Moim czołowym mistrzem w zakresie literaturoznawstwa był prof. dr J. Kleiner; zawdzięczam mu nie tylko wiedzę, której nam, a mnie nawet dodatkowo nie szczędził, ale także mądrą i zarazem liberalną opiekę nad moją drogą naukową, a więc także i nad moim losem. Do dziś dnia nie mogę wyjść z podziwu nad przedziwnym połączeniem w jego stosunku do studentów rygorów w wymaganiach od nich solidnej, uczciwej pracy z bacznością na ich walory intelektualne i duchowe, z bacznością na ich etykę. Bliski był mu w młodości zapał do twórczości badawczej; wspierał go serdecznie, nie bacząc nieraz na jakieś ad hoc młodzieńcze nieprawidłowości. Takiej jego postawie wobec młodych zawdzięczam, iż na pierwszym roku studiów uniwersyteckich stałam się autorką pierwszej swojej książki naukowej. A rzecz potoczyła się tak dziwnie i tak zarazem prosto.

Norma programową prof. dra Kleinera na jego wstępnych ćwiczeniach na pierwszym roku studiów polonistycznych — po wyjaśnieniu na czym, będą polegać te ćwiczenia — było przedstawienie młodzieży listy tematów do wyboru jednego z nich na rozprawkę uzasadniającą pozytywne ukończenie wstępnych ćwiczeń; ocena pozytywna owej rozprawki była głównym

warunkiem przyjęcia studenta na seminarium w roku następnym. Dziś już nie pamiętam tematu, który wybrałam. Zapewne dlatego, że równocześnie zaczęło mi się marzyć, aby zająć się Słowackim, moim ukochanym poetą, a przecież i ukochanym przez naszego profesora. Nie licząc się z jakimś swoim wyborem z przedstawionej listy zdecydowałam się zająć Słowackim, ale nawet nie przyszło mi na myśl, aby kłopotać profesora zawiadomieniem go o tym, a także dlatego, żeby mu sprawić miłą niespodziankę. Chcąc jak najprędzej wywiązać się z tego zadania, wzięłam się intensywnie do pracy i ustaliwszy jej tytuł: *Ewolucja obrazów u Słowackiego*, oddałam ten swój elaborat profesorowi już z końcem pierwszego półrocza.

Nawet nie przyszło mi na myśl, iż zlekceważenie przedstawionych do wyboru tematów mogło profesora obrazić. A okazało się, że takie obrażenie również nawet nie przyszło na myśl profesorowi. Ujawniło się to w parę dni później, gdy profesor orzekł, że moja praca jest klasyczną rozprawą doktorską, że za takową będzie ją uważał. W konsekwencji od półrocza przeniósł mnie z proseminarium na seminarium i zalecił, abym pracę tę przedstawiła seminarzystom na pierwszym zebraniu w drugim półroczu. Dodał, iż ta rozprawa została ogłoszona drukiem w formie książkowej. I rzeczywiście ukazała się ona drukiem w 1925 roku jako pierwsza pozycja w instytuowanym w Ossolineum wydawnictwie prac ze szkoły J. Kleinera: „Badania Literackie”.

Moja pierwsza książka pt. *Ewolucja obrazów u Słowackiego* spotkała się z żywym, a życzliwym przyjęciem przez krytykę. Wstęp do niej Wydawnictwa Zakładu im. Ossolińskich przypisuje jej nawet koncepcje inicjatorskie. Uznano, że rozprawa ta „czymś nowym jest może nie tylko w naszej nauce. Po raz pierwszy podjęta została próba, żeby wszystkie wybitniejsze obrazy poety ułożyć w grupy i powiązać genetycznie”¹. Liczne recenzje eksponowały także od rozmaitych stron nowatorstwo tej pracy — przy takich czy innych zastrzeżeniach. Osobiście wydaje mi się dziś, z perspektywy całych dziesiątek lat, iż zasługą tej pracy jest w niej chyba pierwsze w moich naukowo-literackich doświadczeniach teoretyczne spojrzenie na pewien aspekt twórczości Słowackiego. Teoretyczne, bo z miejsca określające, czym w poezji jest obraz poetycki, jaką w nim pełnią funkcję trzy podstawowe aspekty obrazu, jaką rolę odgrywa w poetyckiej inkarnacji obrazu zmienność w jego podstawowym aspekcie całościowym i w jego poszczególnych aspektach. A dalej: jakim trybem przy pewnych w nich przemianach dochodzi do zmienności w jego podstawowych

¹ S. Skwarczyńska: *Ewolucja obrazów u Słowackiego*. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Lwów — Warszawa — Kraków 1925 s. VI (cytat ze *Wstępu* do tej książki — podpisanego przez Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich)

aspektach. I także: jakim trybem przy pewnych zmianach pozostaje nie-naruszona ich naturalna zgodność układania się owych obrazów w ich jednolite poetyckie toki i jak się one mają wzajemnie jako pewne „ciągi”, „toki”, czy „łańcuchy”. W sumie: chyba wbrew temu, iż mój sposób widzenia tych spraw był bliższy temu, co aktualnie w nauce o literaturze wysuwa się na czoło, to niewątpliwie-rodem jeszcze z pozytywizmu-znalazło się w mej książce, i to tytułowo, pojęcie: ewolucja.

W toku intensywnych uniwersyteckich studiów na roku pierwszym zrodziły mi się jeszcze dwie rozprawy, czy raczej artykuły naukowe, dotyczące odnalezionych dwóch listów Garczyńskiego, a więc rozprawki w tradycyjnym stylu naukowym. W czwartym zaś jeszcze roku studiów uniwersyteckich — a więc dla zgody z ówczesnymi normami i za pozwoleniem Ministerstwa — osiągnęłam na podstawie rozprawy z pierwszego semestru swych studiów doktorat z polonistyki oraz z romanistyki. W tymże czasie napisałam jeszcze dwie rozprawy, które ukazały się w następnym roku — i to w tak wybitnych czasopismach, jak „Pamiętnik Literacki” i „Ruch Literacki”; jedna z nich tkwiła jeszcze w aurze Słowackiego (Przyczynek do badań nad mistyką Słowackiego), druga, porównawcza, dotyczyła Weissenhofs i Taine’a.

Ale tak wczesny i zaszczytny tytuł doktora istotnie odbił tylko rok pierwszy uniwersyteckich studiów. Dalsze, nie całe ich trójlecie, zmieniło poważnie moją początkową sytuację życiową. Ustępując mojej siostrze, Jance, kanapkę w jadalni wujostwa Skwarczyńskich — wyszłam tuż po roku studiów za mąż, a to za kapitana artylerii konnej Tadeusza Skwarczyńskiego w Stanisławowie. W kilka tygodni potem odszedł z tego świata mój ojciec.

Przeniosłam się do Stanisławowa, skąd co dwa tygodnie dojeżdżałam do Lwowa na odpowiednio łączone ze sobą w dwóch dniach, różne seminaria i kolokwia. Gościli mnie wówczas bardzo serdecznie teściowie. Niezależnie od dalszego ciągu studiów we Lwowie zaangażowałam się, nie chcąc sobą obciążać męża, w rozmaite prace. Jako nauczycielka — polonistka pracowałam w Gimnazjum SS Urszulanek w Stanisławowie, a jako nauczycielka języka francuskiego w stanisławowskim Gimnazjum im. Elizy Orzeszkowej. Ale na tym nie koniec. Otrzymałam posadę recenzenta teatralnego w „Kurierze Stanisławowskim”, a niebawem wolną rękę w publikacji w tymże dzienniku jakichś felietonów i recenzji. Muszę stwierdzić, że tak jak nie było bez pouczającego wpływu na przyszłość moje ówczesne nauczanie gimnazjalne-zwłaszcza wykłady, podobnie — a może jeszcze silniej-wpłynął a moje dalsze zainteresowania naukowe w przyszłości mój kontakt jako recenzentki z teatrem. Pasję dla teatru miałam od dziecka, a we Lwowie nie opuściłam żadnego z ważniejszych spektakli. Obecnie był to więc ciąg dalszy dawnej pasji teatralnej, ale ciąg dalszy, który zmusił mnie do zapoznania się — i to także historycznego —

ze sztuką teatru, z czasem na równi z literaturą, bo także naukowo-twórczo.

Tak upłynął drugi i trzeci rok moich studiów uniwersyteckich. Rok czwarty znów się zarysował inaczej. Mój mąż został powołany na roczne najwyższe studium wojskowe w Warszawie, po którym uzyskał tytuł kapitana, potem majora dyplomowanego czyli świadectwo najwyższych kwalifikacji wojskowo-naukowych. Oboje na ten rok przenieśliśmy się do „Kawalerskiego” pokoiku w Warszawie. I on, i ja, byliśmy przez cały dzień zajęci nauką; wieczorem — często teatr lub odwiedziny dalszych krewnych. Sporo tam było wybitnych politycznie person, jak Józef Haller i Stanisław Haller — powinowaci mojej teściowej; jak Skwarczyński Adam i Stanisław — obaj politycznie i historycznie powszechnie znani; jak Zygmunt Jasiński — ówczesny minister kolei, a kuzyn oraz przyjaciel mego ojca, jego zaś żona — kuzynka mojej matki. I moje znajomości naukowe i teatralne... Czasem pozwalałam sobie na luksus wysłuchania wykładu któregoś z warszawskich profesorów, jak prof. dra Józefa Ujejskiego. Uczestniczyłam także w seminarium doktoranckim prof. dra Bronisława Gubrynowicza, obcując koleżeńsko z kręgiem przyszłych osobistości naukowo-historycznych. Z Warszawy z końcem maja wyjechałam, jak już wspomniałam, do Lwowa, na swoje egzaminy doktorskie.

A potem znów powrót do Stanisławowa, a to do dawniejszych zajęć i do nowych przeżyć. Podjęłam dawne prace nauczycielskie i dawne aspiracje badawcze, które odąd zaczęły wydawać obfity plon w rozprawach i w ambitnych książkach, w których szczególnie krystalizowały się moje badania teoretyczno-literackie. Bo też teraz właśnie ustalił się ostatecznie mój stosunek do nauki o literaturze. Dyscypliną literacką dominującą stała się teoria literatury, ale bez likwidacji zainteresowań badawczych nie tylko literaturą polską, francuską i niemiecką, lecz także literaturą porównawczą oraz stosunkami pomiędzy różnymi literaturami. W moim jednak przekonaniu teoria literatury, była to podstawowa nauka o istocie i o istotności literatury, jak zabrzmiał tytuł jednej z moich ówczesnych rozpraw. Zamarzyłam wówczas, aby się jej oddać w sposób zasadniczy, a to z góry decydowało o habilitacji z tej właśnie podstawowej dyscypliny literackiej.

Pobył w Stanisławowie nie potrwał dłużej — o ile pamiętam — niż rok. Mąż mój został tym razem przeniesiony do Będzina, ale ja nie mogłam przerwać w toku roku zajęć nauczycielskich. Toteż tam, w Stanisławowie, urodziła się moja pierwsza córka — Maria Joanna (po mężu Olszewska), obecnie wybitny biolog, profesor w Uniwersytecie Łódzkim. Za parę miesięcy, po ciężkiej chorobie, przyszło mi się przenieść z dzieckiem do Będzina, do męża. Tam, w Będzinie, nie było mowy o znalezieniu nauczycielskiej pracy, starałam się więc pomóc domowi finansowo piórem. Rok spędzony w Będzinie był okresem artykułów i felietonów — ogłasza-

nych przeważnie w pismach kobiecych. Ale także i w czasopismach naukowych. W rok potem przeniesiono męża jako wykładowcę do szkoły wojskowej pod Warszawą.

Podobnie jak z Będzina dojeżdżałam, gdy tylko to było możliwe, do całodziennej pracy w bibliotece uniwersyteckiej w Krakowie, tak teraz dojeżdżałam do biblioteki warszawskich. Zapoznałam się z istną masą literatury naukowej, w szczególności zajmującą się zagadnieniami teoretycznymi. W gruncie rzeczy te dwa ostatnie lata pozwoliły mi przemyśleć i ustalić „na własną rękę” zasięg rzeczowych teorii literatury, ustalić niektóre z jej aspektów, rozważyć sprawę gatunków literackich i zadziwić się chaosem panującym w literaturoznawstwie, jeśli idzie o sprawę tychże gatunków literackich. Stał przed mną także problem granic literatury w ramach wszystkich zjawisk słowa mówionego i pisanego.

Ale i stamtąd trzeba było po roku wywędrować; mąż mój przeniesiony został do Brześcia n/Bugiem. Tam otrzymałam z miejsca pracę nauczycielki w gimnazjum żeńskim, podobnie jak i nawiązałam żywe kontakty z tamtejszym kuratorium. Wciągnięto mnie do ożywionej współpracy naukowej, dotyczącej zagadnień nauczania; kilka prac tego typu ogłosiłam wówczas drukiem, zwłaszcza ich zestawy w książkach późniejszych datami wydania niż *Ewolucja obrazów u Słowackiego*. Wygłosiłam kilka odczytów dotyczących także literatury polskiej, jak: np. twórczości Zapolskiej. Najśmiej jednak gnębiły mnie nadal problemy stosunku genologii literackiej do nie docenionej i dotąd do niej nie ustosunkowanej genologii w mowie i piśmie codziennego życia. Najbardziej niepokojąco naukowo zdają się wyglądać takie w nim gatunki jak list, dziennik, pamiętnik. Szczególnie uderzył mnie aspekt genologiczny listu. Toteż postanowiłam wtedy ostatecznie zająć się naukowo listem. Odtąd — wtedy i potem wdałam się w pracę jak najobfitszego — od antyku — rozpracowania listu jako gatunku. Z czasem powstała ta — poważna objętościowo — praca pt. *Teoria listu* — czwarta książka w moim dorobku naukowym; ta, którą pozwoliłam sobie przedstawić w parę lat później jako pracę habilitacyjną.

I znów po roku pobytu w Brześciu n/Bugiem przyszło nam przenieść się w inny kąt Polski. A mianowicie do Łodzi gdzie dotąd — po latach drugiej wojny światowej, którą przeżyłam nie tylko w rozmaitych miejscowościach, ale także w rozmaitych krajach — mieszkam obecnie na stałe.

Tych kilka przedwojennych lat w Łodzi zarysowało się w moim życiu — jak też w życiu współdziałających ze mną wówczas kolegów, którzy przeżyli wojnę — jako swoisty raj, a to dzięki naszej ścisłej współpracy i ważkim osiągnięciom. Były to lata bogate we wspólne pomysły, we wspólne ich realizowanie, w konkretne zwycięstwa, żywe po dziś dzień. Poważne „personalnie” grono kolegów z różnych szkół średnich w Łodzi, niektórzy także zaangażowani w jakieś usługi naukowe w Oddziale Łódzkim Wolnej

Wszecznicy Polskiej i również w łódzkim dziennikarstwie, związało się w twórczy inicjatywnie ośrodek. Było nas kilkanaście początkowo osób o takich ambitnych założeniach społeczno-naukowych. Do ambitnych założeń i celów należał początkowo nie tylko wysiłek uprawiania nauki o literaturze, ale także twórcze współdziałanie z czasopiśmiennictwem, szerzenie wiedzy aktualnej o literaturze i kulturze poprzez odczyty w różnych ośrodkach łódzkich — ze szczególnym uwzględnieniem dzielnic peryferyjnych zamieszkałych przez ludzi prostych i ubogich. Szczególnie staraliśmy się współdziałać twórczo i pomocnie z ośrodkami upowszechniającymi wiedzę, a więc nie tylko ze szkolnictwem i Wolną Wszecznicą, ale także z wydawnictwami łódzkimi i z łódzkimi teatrami. Nie zadawaliśmy się jednak odczytami, pogadankami w różnych środowiskach. Zaświtało nam działanie naukowo-twórcze. Wykładnikiem tej idei stało się założenie rocznika o tytule „Prace Polonistyczne”. Ze swego założenia miał on publikować prace przede wszystkim łódzian nie wykluczając jednak współpracy ogólnopolskiej. Koledzy powołali mnie na naczelnego redaktora. A więc było to drugie założone — czy współzałożone przeze mnie czasopismo, jeśli wziąć pod uwagę jeszcze gimnazjalne moje powołanie do życia redakcji „Jaskółki”²... Do wojny zdołały się ukazać w druku trzy sążniste tomy „Prac Polonistycznych”. A po wojnie — oraz po intensywnej walce o istnienie tego rocznika — dalsze jego tomy. Dotąd jest on w pełni żywotnym; stoimy obecnie na progu jego półsetnego jubileuszu.

Oprócz tych i wielu jeszcze innych zajęć, jak między innymi udział autorski i recenzencki w łódzkim czasopiśmiennictwie, łódzkie te lata okazały się dla biegu mego życia szczególnie ważne. Przede wszystkim urodziła mi się wówczas moja druga córeczka, Joanna-harcerka- o wyjątkowych zdolnościach — także teatralnych, dziewczątka wyjątkowego uroku duchowego. W kilkanaście lat później — na innym już etapie naszego pobytu w Łodzi — tutaj także spoczęła na cmentarzu wraz z gronem koleżanek — harcerek, z którymi uległa tragicznej katastrofie na jeziorze Gardno.

W dobie przedwojennego pobytu w Łodzi — oprócz żywego udziału w pracach naszego grona — przypadły mi ważkie sprawy i zadania osobiste. W uniwersytecie lwowskim wyhabilitowałam się w zakresie teorii literatury; była to chyba pierwsza habilitacja z teorii literatury; mój wykład habilitacyjny pt. *Estetyka makaronizmu* był w swej istocie równie przekorny dotychczasowym poglądom jak habilitacyjna książka: *Teoria listu*. Teoretyczne wyjaśnienie istoty literatury pt. *Przedmiot, metoda i zadania teorii literatury* ukazało się w roku następnym tj. 1938, w „Pamiętniku Literackim”.

² Fakt ten został przeze mnie ustalony w rozprawie zamieszczonej w pierwszej Księdze Jubileuszowej Gimnazjum Męskiego w Sanoku.

Po habilitacji — zgodnie z ówczesnymi zobowiązaniami — dojeżdżałam do Lwowa z wykładami z tej dziedziny. Równocześnie Oddział Łódzki Wolnej Wszechnicy przyciągnął mnie do współpracy, zapewniając już jej trwałość. A mianowicie — wystarawszy się dla mnie o tytuł profesora nadzwyczajnego — powołał mnie od roku akademickiego 1938/9 na profesora Katedry Historii i Teorii Literatury w swym Oddziale Łódzkim. Wybuch wojny uniemożliwił mi pełne podjęcie tej funkcji.

Został mnie ów wybuch wojny z dziećmi — a było ich troje, bo mój chrześniak, sierotka po matce, jako trzecie — w naszej Dąbrówce koło Sanoka. Mój mąż jako oficer przerwał, oczywiście, urlop i trwał na swojej placówce wojskowej w Łodzi; do czasu, bo tragiczny przebieg wojny przerzucił jego wojskową placówkę — o czym nie wiedziałam — do Lwowa. Jeszcze udało mi się dotrzeć okrężnie pociągiem do Łodzi dla zabrania dla dzieci nieco zimowej odzieży i dla uratowania — może — bodaj jakiejś garści rodzinnych pamiątek przez oddanie ich znajomym do przechowania, co, powiedziawszy nawiasem, było bezskuteczne, bo Polaków — zwłaszcza inteligencję — Niemcy wyrugowali z Łodzi.

Przez Dąbrówkę przesuwali się nieustannie uciekinierzy kierujący się na wschód. Zwłaszcza żołnierze z rozbitych jednostek wojskowych — szczególnie oficerowie. Oni to — noclegując u nas, w Dąbrówce — przycisnęli nie tylko mnie, ale także naszych dzierżawców, aby ruszyć na wschód, do Lwowa, bo — jak twierdzili — nad Sanem dojdzie do zabójczych walk. W rezultacie nasi dzierżawcy zorganizowali konie i wozy, bo był to jedyny wtedy sposób, aby wywędrować na wschód, do Lwowa, jako że pociągi na tej linii przestawały działać.

Ekspedycja trwała kilka dni — w piękny, słoneczny wrzesień. Jechało się pod wrogimi samolotami zrzucającymi od czasu do czasu jakieś ładunki na falę pieszych i nie-pieszych uciekinierów. Przejechało się przez rozburzony Chyrów, przez gruzy jezuickiego klasztoru, a także przez płonący Sambor — drogą z obu stron w ścianach z ognia. Nocowało się pod gwiazdami, a istnym cudem przejechało się przez wrogie Polsce wsie ukraińskie. Nocą dotarło się do granic Lwowa. Wojskowe placówki niemieckie nas przepuściły, acz dyskusje z nimi na ten temat nie były łatwe. Wjechaliśmy szczęśliwie do Lwowa od strony jeszcze nie zajętej przez Niemców, jeszcze zupełnie polskiej — a więc twarzą w twarz z polskimi żołnierzami, z harcerzami i harcerzykami patrolującymi ten obszar nocą. Ale do mieszkania mojej teściowej, do której z dziećmi zdążałam, nie mogliśmy dotrzeć; ulica zastawiona była poprzecznie deskami — czyżby tam już rozgrywały się walki?

A więc zajechaliśmy do mojej ciotki, z tym, że przeniesiemy się zaraz po „włączeniu” tamtej części miasta do jego całości, co nastąpiło w toku trzech dni. Niebawem Niemcy wycofali się spod Lwowa na rzecz nowego państwa — Ukrainy. Oczywiście liczyłam na pracę w uniwersytecie dla

utrzymania dzieci. Uniwersytet — zamieniony już na ukraiński — zaczął działać we wrześniu. Rzeczywiście: dzięki profesorowi Kleinerowi udało mi się podjąć pracę wykładową — ale jako docent, a nie profesor — na polonistycę: potem i na romanistycę.

Jako tako udało mi się przeżyć z dziećmi — od dwóch miesięcy także z teściową — do kwietnia, a więc całe pół roku. Ale też po tej połowie zjawił się nocą u nas żołnierz radziecki, aby — zgodnie z poleceniem — zabrać nas, a więc babcię, troje dzieci i mnie, na ogromny, roboczy samochód jako przeznaczonych do wywózki w głąb Rosji. Żołnierz, pełen ludzkiej litości, pomagał mi zebrać konieczne rzeczy do dużego kosza, zachęcając, by wziąć jak najwięcej: tam bowiem nie ma niczego. A więc koce, płaszcze, buty; nawet garnek i ze dwa garnuszki... Ale nie wiedział, dokąd mają nas wywieźć.

W kilkadziesiąt, a raczej w kilkaset osób, osadzono nas w „zwierzęcych” wagonach, na deskach w trzech poziomach kondygnacyjnych z malutkim u góry wziernikiem. Razem z dziećmi, kobiety, mężczyźni.

Po dwóch czy trzech dniach postoju na stacji ruszyliśmy w daleką drogę rzadko zatrzymując się na stacjach. Owe małe okienko u góry pozwalało czasem dojrzeć krajobrazy okoliczne — bezkresne równiny, migające w oddali domki i jakby wioski, a także górki i góry. Przecieliśmy łańcuch górski z dwuramiennym słupem i napisem na nim: „Ewropa” i „Azja”.

Nie pamiętam już, na której to wielkiej stacji nasz pociąg się zatrzymał, wówczas z każdego wagonu wysyłano jedną osobę po zupełne — pierwsze ciepłe danie po dwóch tygodniach. Wreszcie — a było to 1 maja — dojechaliśmy do stacji, z której miano rozmieszczać wywiezione rodziny po różnych — na rozległych obszarach — sowchozach i kołchozach. A że pierwszy maja — to narodowe tam święto, nasi kolejni strażnicy w pośpiechu, aby uratować sobie bodaj wieczór świąteczny, zaczęli wyrzucać z wagonów tobołki oraz pasażerów. Za jednym z naszych ważkich tobołów wyskoczyła moja starsza córeczka, Marysia — wówczas 11-letnia, gdy wóz już ruszał. Ja musiałam zostać przy dwojgu małych dzieciach i chorej matce mego męża. I oczywiście w zupełnie inną stronę ruszył wóz z naszym tobołem i Marysią niż wóz z babcią, małymi dziećmi, mną — ich opiekunką — i małym kuferkim.

Droga wiodła przez step — zielony, połyskujący rosą na trawie, a więc także i błotny, co niewątpliwie przyczyniło się aż do kilkudniowej podróży na wozie. Przerwa w jakimś urzędowym domku przekonała mnie — o rozpacz! — iż nie czekała na nas tam Marysia, że, widać wywieziono ją w inną stronę — bez własnych rzeczy, bez grosza — nie wiadomo dokąd. Stacjonujący tam milicjant obiecał — na moje błaganie — odnaleźć moją córeczkę. Ale rozpacz pozostała rozpaczą; trudno wierzyć w słowa pisane

stepowym wiatrem. A jednak po kilku dniach tragicznie przeżytych i przemodlonych okazało się, że odnalazł on moją córeczkę. Poprosiłam kierownika „fermy” — Kazacha, człowieka bardzo dobrego, o pozwolenie mi na przywiezienie mojej córeczki; pozwolił. I w ramach tych moich działań rozegrały się — nocą w stepie i w dzień — istne cuda Bożej łaskawości nad nami. Nie tu jednak miejsce na te relacje.

Michajłówka — tak nazywa się miejsce, w którym nas umieszczono, niby ferma zwierzęca — owce, barany, także woły, które jednak „na własną rękę” spędzały noce w dolinkach i górskich zakamarkach — bodaj że wtedy właśnie była w trakcie przekształcenia się w folwark rolniczy, niektóre połacie ziemi ornej wtedy dopiero po raz pierwszy — od stworzenia świata — zetknęły się z sieją. Zdarzyło się, że i ja zaszczycona byłam kierowaniem pługa, co było wielce trudne, bo nie podobało się i koniom, a częściej i wołom, i samej ziemi, najeżonej kamieniami. Tyle pociechy, iż na głazach w polu odpoczywały nieraz zmęczone orły. Częstszym jednak zajęciem od od orki bywało odkopywanie na dość szerokiej przestrzeni brył soli, prawdopodobnie pozostałości w ziemi śladów jeszcze carskich czasów. Najczęstszym natomiast zajęciem było zbieranie i także odkopywanie „kiziaków”, skamieniałych odchodów zwierzęcych, które teraz służyły za opał. W początku jesieni wysypano spory plac, owsem, aby wyschnął, a mnie polecono pilnować go przez całą noc. A od gór, dookoła odezwały się grzmiące ryki ogromnych byków, które nocą z gór dookolnych schodziły zwabione zapachem owsa. Gdy zaczęłam je odganiać, usiłowały się rzucić na mnie z rogami. Bezradna, zaczęłam co sił wołać o pomoc. I rzeczywiście kilku poczciwych kazachów zerwało się ze snu i przybiegło mnie ratować.

Nie warto mówić o trudności wyżycia i wyżywienia w tamtych warunkach trojga dzieci, wiekowej babci i mnie, której los zlecił przez-wyciężanie tych trudności. Bo też zaistniało dla mnie coś, co niemal zwycięsko przeciwstawiło się wszelkiej nędzy i trudom. Wypatrywanie wzruszającej dobroci ludzi w zuoelności obcych, jak „kazacy”, jak zrosjanizowani tatarzy i autentyczni Rosjanie. Koito kłopoty i tęsknotę wpatrywanie się w krajobraz ogarnięty wokół górami o nieprawdopodobnych kolorach od jaskrawej zieleni i purpury po czarny fiolet w nocy, gdy kwieciste gwiazdy zdawały się odległe tylko na miarę wyciągniętej ręki. Ale szybkim krokiem nadchodziła zima. Małeńki pokoik dzielony pomiędzy nas, a więc osób pięć, oraz przez żonę lwowskiego policjanta z kilkunastoletnim synem: izba bez pieca, z niby małeńką kuchenką, bez paleniska. Spanie pokotem na ziemi pod jedną ścianą, bo druga ściana należała do współlokatorów. Nadszedł październik i listopad ze śniegiem.

A tymczasem we Lwowie cudów dokonywali i dokonali przyjaciele. A ściślej: prof. dr J. Kleiner i wszyscy ci, których wciągnął do walki o mnie i o moją gromadkę dzieci wraz z babcią. Umiał on pozyskać dla tej sprawy Wandę Wasilewską, której, zaiste, zawdzięczamy łaskawość

samego Stalina w jego ostatecznym, po paru miesiącach, przyzwoleniu na powrót do Lwowa. „Dyrektor” Michajłówki, człowiek prosty, ale sprawny w swoich rządach, pokazał mi papier skierowany od najwyższych władz w Moskwie z zezwoleniem na mój powrót z rodziną do Lwowa. Dokument zupełnie wyjątkowy; wytłoczony na pięknym, artystycznie doskonałym, papierze, a zwarty i prosty w słowach. A było to już w czasie zaawansowanej jesieni, zaś według polskiej praktyki w zimie — bo w wicherze i mrozie. Trzeba mi było wybrać się piechotą na kilkudniową wędrówkę pustkowień do miasta dla uzyskania odpowiednich papierów. Ekspedycja tam i z powrotem trwała blisko dwa tygodnie. Moi zwątpili w mój powrót. Ale tutaj, potem zorganizowano wóz zaprzężony w byki, który w ciągu kilku godzin w śniegu, mrozie i wicherze, zawiózł nas do najbliższej stacji kolejowej.

Postanowiłam wrócić z Michajłówki do Lwowa poprzez Moskwę, a więc drogą kolejową na północ, a to ze względu na zimę w czasie której masy ludzkie zjeżdżają w ZSRR z zimnej północy ku cieplejszemu południowi; czyli, że łatwiej będzie o miejsce w pociągu dla naszej gromadki.

I tu, na stacji „wyjazdowej”, znów zetknięcie się z osobami o ogromnej dobroci i ofiarności. Można by zarzucić autorce tej narracji, że odchyła się akcentowaniem duchowej dojrzałości spotykanych ludzi od właściwego jej celu, a więc od jakiegoś opisu swego intelektualnego dojrzewania *pro bono* nauki. Tymczasem okres miesięcy i lat jej styczności z dobrocią i ofiarnością osób — i to także osób obcych, jej nieznanych — przyczyniło się jej w wielkiej mierze do pokonania w trudnych czasach pokusy porzucenia pracy naukowej jako rzeczy niezbyt ważnej.

Wróćmy *ad rem*. W ZSSR panowała zasada, iż do pociągu może wejść na każdej stacji tyle tylko osób, ile jest wolnych miejsc, a to zostaje naczelnikowi stacji zakomunikowane telefonicznie przez kierownika stacji poprzedniej. Otóż pociągi — jeden po drugim — które nadciągały od południa nie posiadały już żadnego wolnego miejsca (a co dopiero pięciu!); tłumy oczekujących pojawiły się na stacji i odchodziły, skazane na mróz przez kilka dni i nocy. Serce bolało patrzeć na dziewczyny, które dla kawałka chleba „sprzedawały” swoje płaszcze. I my, oczywiście, skazani byliśmy na taki sam los. Ale zdarzyło się coś tak dziwnego, że aż nadprzyrodzonego. Naczelnik stacji — a wyglądał na inteligenta klasy arystokratycznej — zaprosił nas wszystkich do siebie na ilość dni, przez które wypadnie nam czekać; odstąpił nam jeden ze swoich dwóch pokoiów, a jego żona — przemile uśmiechnięta, oczywista na oko proletariuszka — oświadczyła nam, że jesteśmy ich gośćmi, że nie ma mowy o jakimś naszym zaangażowaniu finansowym. Co więcej: wykorzystując przydział całego miesiąca, zakupiła mięso na obiad, aby nas przyjąć po królewsku; zaiste, wielkość duchową człowieka mierzyć można tylko takimi, pozornie drobnymi, a wielkimi dziełami miłosierdzia.

Dalsza podróż przebiegła jako tako, chociaż niedobrych chwil nie zabrakło, zwłaszcza gdy w grę wchodziło przenoszenie się z tobołkami i małymi dziećmi z pociągu do pociągu. A w Moskwie przyszło nam przeżyć dwa dni i dwie noce w poczekalni na dworcu. Oczywiście, iż chcąc nie tylko siebie, ale i starszą córeczkę, Marysię, zapoznać chociaż trochę ze stolicą ZSSR, oglądnęliśmy Kreml, cerkiew na Kremlu, mogiły monument i trumnę Lenina; zwiedziłyśmy jedno z kilku muzeów, muzeum przyrodnicze do którego nas wpuścił litościwie uszamerowany złotem woźny, mimo że nie mogliśmy zdjąć — jak należało — kaloszy, bo „u nas sapochy nie tu”.

A potem podobnie, jak w Moskwie, oglądanie Kijowa, tym razem z obiema córeczkami, także w świetle naszych narodowych wspomnień. „Złota brama” nie zadowoliła moich dziewczynek, bo... nie była „złota”.

W parę dni później znaleźliśmy się już we Lwowie. Mieszkanie mojej teściowej zastaliśmy wolne, a więc była możliwość powrotu do dawniejszej sytuacji. Nie do zapomnienia są chwile, gdy dzieci dostały zaraz grysik na mleku. Ich pobożne milczenie w czasie tej istnej uczyty jest nie do zapomnienia.

I znów profesorowi J. Kleinerowi udało się wyprosić dla mnie powrót do uniwersyteckiej pracy, oczywiście nadal w charakterze docenta, a nie profesora. Ale i to najzupełniej wystarczyło na utrzymanie sporej rodziny, a nawet na jej powiększenie. A to w ten sposób, że przyjęło się do czasu za swoją dziewczynkę, która wraz ze swoją nieco starszą siostrą uciekła z Kazachstanu po śmierci z głodu swej matki, a która nie miała we Lwowie nikogo, kto zechciałby ją przytulić. A więc grono moich powiększyło się — oczywiście do czasu — do czworga dzieci. Anetka ze swoją siostrą były istnym okazem i dowodem bohaterskiej dobroci poważnej ilości różnych ludzi: od kazachskich biedaków — przez konduktorów pociągów, do których udało im się wskoczyć — aż po kolejarzy na dworcach, milicjantów, urzędników na granicy. Wzmocnili oni jeszcze moją wiarę w dobroć człowieka — wiarę, która silnie pomogła mi na różnych zakrętach życia wzmocnić moją pasję twórczej pracy naukowej jako współpracy z prawdą i dobrem — wcielonym w człowieka.

Nauczycielska praca uniwersytecka, a w uniwersyteckiej bibliotece naukowa, przebiegała w tym ukraińskim Lwowie po dawnemu po polsku, a dla romanistów po francusku. Po polsku — oczywiście — składało się antyniemiecką przysięgę żołnierską. Po polsku zorganizowało się tajne życie naukowe z referatami i dyskusjami, oczywiście prywatnie — i to — w różnych domach. Zorganizowało się swoisty polski ruch literacko-wydawniczy; jako inicjatorce-kierownicze udało mi się tajnie wydać broszurowany tomik wierszy polskich poetów lwowskich, oczywiście anonimowo, tomik o tytule *Wierne płomienie*; także wiersz polskiego pastuszka po spaleniu jego polskiej wsi i po zgonie rodziców. Może największą zasługą tego polskiego ośrodka

było to, że stał się tradycją dla późniejszej formacji analogicznego ośrodka, ale już skrajnie tajnego, za okupacji Lwowa przez Niemców.

A były to wyjątkowo trudne do przeżycia czasy. Z miejsca wyrzucono nas z mieszkania. Znaleźliśmy się w dwóch pokoikach wspólnego mieszkania, a następnie i stamtąd wyrzuceni znaleźliśmy się w lichym mieszkanku na drugim końcu Lwowa. Oczywiście, Niemcy zamknęli uniwersytet, a jego bogactwa biblioteczne wyrzucane przez okna — stały się stertami śmietnisk. A więc gorączkowe poszukiwanie jakiejś roboty, Jedyne rzecz dostępną — to przejęty od naszego wielkiego prof. dra J. Weigla jego instytut szczepionek antytyfusowej. Przyjęto mnie tam w charakterze „hodowcy wszy” i — oczywiście — „karmiciela wszy”. Przykre to było i denerwująco-bolesne, ale przyznać trzeba, że mój przełożony, lekarz — bodaj z Bochum — wówczas oficer, był człowiekiem spokojnym i raczej życzliwym.

Wprawdzie na tym odcinku naszych wojennych dziejów umniejszała się moja rozłożysta rodzina, bo zza Sanu przyjechał po Krzysia jego ojciec, a Anetkę zabrała jej ciotka, ale trudno było związać jako tako koniec z końcem. Świadomi tego stanu rzeczy kuzynostwo mego męża, Teleżyńscy, przebywający na Zamoyszczyźnie na rolniczym chlebie, zaprosili do siebie obie moje córki, a ja zostałam we Lwowie tylko z matką mego męża. Niemniej, aby dać sobie jako tako radę z ówczesnym życiem, podjęłam dodatkowo popołudniową funkcję kelnerki w polskiej cukierni. Starczyło jednak czasu, aby rozwinąć nawet w tych warunkach naszą istotną pracę. A więc nadal zebrania naukowe w różnych domach. A więc przy należytej tajemności działalność patriotyczno-społeczna z kontaktami z całą Polską; działalność podobna do wypróbowanej jeszcze przed wtargnięciem Niemców do Lwowa. A więc zakonspirowane wydawnictwa — przede wszystkim wydana wraz z M. Żuławskim tomik poezji pt. *Śpiew wojny*, a zatem drugi z kolei polski tomik poetycki już w niepolskim Lwowie, oprócz takich zrywów jako wydawnictwo regularne czasopisma „dla kobiet — patriotycznego i praktycznego — pt. „Kobieta w walce”, na którego redakcję powołano mnie formalnie — oczywiście także tajnie.

Tymczasem straszliwa burza wzbierała w Zamoyszczyźnie, a to także na skutek jej gorącej polskości, jej oporu wobec niemieckich zarządzeń, a przede wszystkim na skutek ukrywania prześladowanych, zwłaszcza Żydów. Kuzynostwo, u których przebywały także moje dzieci, zostali zaaresztowani. Oczywiście zaraz pojechałam po swoje córeczki.

I znów we Lwowie przyżywało się różne perypetie — a to w związku z przechowywaniem Żydów, z uczeniem katechizmu tych, którzy zapragnęli chrztu, z wysłaniem do Warszawy z odpowiednimi dokumentami tych, którzy zapragnęli tam się dostać. Rewizje — *et caetera*.

Moje córki chodziły do tajnych szkół i dzielnie stawiały czoło życiu. Nawet twórczo i radośnie. Moja młodsza, Joanna, rozkochana w teatrze

wystąpiła w tzw. tajnym przedstawieniu: *Ich czworo* G. Zapolskiej w roli dziewczynki, w przedstawieniu, które odbyło się na strychu jednego z kościołów — z moim przemówieniem wstępnym. Potem, jeszcze we Lwowie, acz już bez Niemców, wystąpiła w polskim teatrze ukraińskiego Lwowa jako Isia w *Weselu* Wyspiańskiego; rozkochanie w teatrze — także jako idei w jej projektach życiowych — towarzyszyło tej harcerce aż do ostatnich — tragicznych i bohaterskich — chwil jej życia.

I znów we Lwowie przeżyło się różne perypetie — wychodząc z nich jednak cało. W domu była bieda, ale byliśmy razem. I wspólnie przeżywało się radośnie oczywistą już klęskę hitleryzmu — opuszczenie przez Niemców Lwowa. Dochodziło już wówczas nieco do porozumienia pomiędzy zwyciężającym ZSSR, Ukrainą oraz Polską, wyzbywających się okupacji niemieckiej. Niebawem przez delegata Polski uzyskało sporo Polaków, zwłaszcza zaangażowanych w życiu uniwersyteckim przed wojną, możliwość przejazdu łańcuchem ciężarówek ze Lwowa do Krakowa. Dzięki wezwaniu z Polski znaleźliśmy się w pierwszych dniach maja w Krakowie, skąd udałam się do Łodzi, gdzie — jak już wspomniałam — byłam przed wojną nominowana profesorem w Oddziale Łódzkim Wolnej Wszechnicy. On to — tuż obok powalonej w gruzy Warszawy — stał się swoistym kamieniem węgielnym dla założenia w Łodzi uniwersytetu — Uniwersytetu Łódzkiego. Organizatorem jego był wówczas rektor Oddziału Łódzkiego Wolnej Wszechnicy — prof. dr Teodor Vieweger. On to mnie przyjął, uznał mnie — jako profesora Wolnej Wszechnicy — za profesora organizującego się Uniwersytetu Łódzkiego; zgodził się na zaproponowany przeze mnie „tytuł” katedry: „Katedra Teorii Literatury” i usankcjonował z miejsca jakieś moje wykłady dla „luzem jeszcze chodzącej młodzieży”. W kilka dni potem już go nie było na tym świecie — tragedia samochodowa...

Jakieś prymitywne mieszkanko wyznaczono mi na krańcach Łodzi; mieszkanko, w którym przyszło nam przebywać przez sporą ilość lat — z córkami, z babcią, potem — z moim mężem po jego powrocie z wojny — oraz ze starą nianią — wplecioną w naszą rodzinę niemal od wieku. Tutaj przyszło nam się pożegnać na wieki z moją Joanną-harcerką, później z naszą dzielną babcią; jeszcze później, w nowym już mieszkaniu, przyszło nam przeżyć tragiczny wypadek, a potem śmierć mego męża; z niego również przeniosła się w zaświaty moja stara niania.

Ale także tutaj radowałam się naukowymi osiągnięciami mojej starszej córki — prof. dr Marii Olszewskiej, a także jej córki, psychologa, a więc mojej wnuczki; a ostatnio także powitałam jej córkę — czyli moją prawnuczkę.

Niezależnie od tego wzięłam się z miejsca intensywnie do pracy wielorakiem, bo z jednej strony uniwersyteckiej, z drugiej ściśle naukowej oraz ogólnie społecznej, wliczając w nią początkowo wykłady w łódzkim Pedagogium — jak przed wojną, a potem w Państwowej Wyższej Szkole Teatr-

alnej z dyrekcji początkowo A. Zelwerowicza, potem L. Schillera; także w Przystosowaniu Filmowym, wreszcie — i to przez długie lata — w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej. Trudno tu wyliczyć ilość różnych innych rodzajów aktywności, i to nie tylko w tych pierwszych latach tuż powojennych aktywności społecznej dla odrodzenia i spotęgowania twórczego życia Łodzi, Polski, a nawet świata, bo z udziałem także międzynarodowym — a to z kongresami i konferencjami w różnych krajach. Konkretnie dane w tym względzie wykazuje tak dla mnie zaszczytna książka, jaką jest *Dokumentacja twórczości naukowej Stefanii Skwarczyńskiej* — opracowana przez Annę Klub-Połatyńską i Annę Sorbjan, pod redakcją prof. dra Stanisława Kaszyńskiego i z jego *wstępem* (1984 r.)³.

Tym, co należałoby podkreślić, a to ze względu na aspekt tematyczny mojej pracy naukowej, obfitej mimo tylu zajęć — to przede wszystkim, iż zakres mojej tematyki nauczycielskiej zaważył swoiście na moich poglądach naukowych. Idzie tu przede wszystkim o moje solidne zajęcie nauczycielskie zwłaszcza teatrem, co narzuciło mi ostatecznie pewne śmiałe poglądy na stosunek teorii sztuki teatralnej do teorii literatury. A pogląd ten był na tyle „silny”, że doprowadził w praktyce organizacyjnej do nowatorskiego przeorganizowania Katedry Teorii Literatury w Uniwersytecie Łódzkim — jak już wspomniałam — na Instytut Teorii Literatury, Teatru i Filmu z trzema zakładami: Zakładem Wiedzy o Filmie i Telewizji, Zakładem Teorii Literatury oraz Zakładem Dramatu i Teatru.

Pogłębione studia w zakresie historii teatru, które już dawniej domagały się sporej wiedzy w zakresie teorii sztuki teatralnej, doprowadziły mnie ostatecznie do poglądu, iż jest chyba wielką omyłką obejmowanie pojęciem literatury także sztuki teatralnej; świadczy już o tym popularne „wyliczenie” podstawowych gatunków literackich: epiki, liryki i dramatu. Wymyka się tu dramatowi jego czołowy aspekt genologiczny: widowiskowość, podstawa w teatralnym dramacie. Może jeszcze dobitniej dochodzi do głosu to nieporozumienie odnośnie sztuki filmowej; sytuacja jednak tej sprawy w filmie nie jest tak bezwzględnie uzależniona od teorii literatury, jak jest ona uzależniona w teorii sztuki teatralnej; znamy gatunki filmowe bez ambicji przynależności do teorii literatury. Mamy więc tu do czynienia — dotąd badawczo zaniedbanego — z trzema dziedzinami genologii, bo z dziedzinami teorii literatury, teatru i filmu.

Przypuszczalnie swoiste odczucie zaniedbania w nauce tej sprawy zdecydowało o silnej ekspozycji w mojej teorii literatury właśnie spraw

³ Obejmuje ona mój życiorys i moje prace do roku 1984: por. *Dokumentacja twórczości naukowej Stefanii Skwarczyńskiej*. Oprac. A. Kluba-Połatyńska i A. Sorbajn. Pod red. S. Kaszyńskiego. Wydawnictwo Łódzkie. Łódź 1984 ss. 90 i 2nlb.

genologii. Wykładnikiem szczególnej o nią troski był chyba mój pomysł powołania do życia międzynarodowego czasopisma dwuzeszytowego rocznie pt. „Zagadnienia Rodzajów Literackich — Woprosy literaturnych żanrow — Les Problèmes des Genres Littéraires”, czasopisma, które przekroczyło już w toku lat swój ćwierćwieczny jubileusz, a spotkało się z wysokim uznaniem i współpracą badaczy różnych krajów na wszystkich bodaj kontynentach: Europa, Azja, Ameryka, Afryka, Australia...

Ale szczególne zainteresowanie badawcze genologią nie odsunęło z mego pola widzenia także i innych aspektów teorii literatury. Dwie zwłaszcza sprawy wysuwają się na czoło mych trosk badawczych i niejako obowiązków naukowych. Z jednej strony próba zarysowania pełnego horyzontu przedmiotu badań literackich, a z drugiej ukazania kierunków w badaniach literackich w ich treściach i w ich historycznym uzależnieniu.

Pierwszej z tych prób zadość miały uczynić dwa pierwsze tomy trzypiętomowego dzieła: *Wstęp do nauki o literaturze*, wydane przez PAX w 1953 r. — o wspólnej objętości stron 1045! Autorka starała się podejść do zagadnień literatury od różnych stron. Świadczą o tym także nazwiska recenzentów — wybitnych, a o różnej naukowej specjalności, takich jak: A. Hutnikiewicz, J. Kuryłowicz, S. Sandler, J. Stefański. Może nie straciły w zupełności swych wartości oba te tomy, aczkolwiek chciałoby się dziś to i owo ulepszyć. Natomiast tom III tego *Wstępu do nauki o literaturze*, który ukazał się dopiero w 1965 roku, poświęcony był w swej całości — stron 412 — genologii z ambicją ustalenia jej dominującej pozycji w całokształcie teorii literatury. Nie zawahał się prof. J. Krzyżanowski wypowiedzieć się o tym tomie za granicą — w „Canadian Slavic Studies”.

Inną autorską pasją, i to o wymiarach olbrzyma, było zapoczątkowanie w tymże samym roku 1965 wielotomowego dzieła pt. *Teoria badań literackich za granicą*; dotąd oczekujemy ostatniego tomu, znamiennego poważnym wkładem prof. dra Henryka Markiewicza. Dzieło to jest przede wszystkim antologią, opatrzoną nie tylko ogólną rozprawą wstępną i komentarzami. Obejmuje ono historię badań literackich właściwie dopiero od romantyzmu, chociaż — oczywiście nie brak w omówieniach ewokacji antyku, renesansu, baroku, a zwłaszcza przybliżeń do wieku XVIII.

Koncepcja takiej antologii zarysowała mi się w konsekwencji pewnych kłopotów, które przypadło mi przeżywać w pierwszych latach po wojnie. Polegały one na pewnych starciach z przeciwnikami — zwłaszcza młodymi — mego światopoglądu: rozgrywki w konkretnych sporach bywały niekiedy moim zwycięstwem; ale w sumie byłam dla nich kłopotliwa i — zdaniem niektórych przeciwników — nie na miejscu ideowo jako profesor uniwersytecki w Polsce Ludowej. Dochodziło do takiej zabawy w kotka i myszkę, iż udawało mi się opublikować książkę, ale nie miała ona prawa pojawić się w księgarni. Szczególnie pewne wydawnictwa, zrealizowane przez Łódzkie Towarzystwo Naukowe (a należałam do jego twórców), nie mogły dotrzeć

do czytelników. Oczywiście taki kłopotliwy stan rzeczy nie przetrwał poza drugą połowę lat pięćdziesiątych. Co więcej: dawni przeciwnicy stali mi się przeważnie miłymi kolegami o przyjacielskiej postawie... Aż po wczorajszy i dzisiejszy dzień...

W kłopotliwym okresie życiowym zostałam pozbawiona katedry w Uniwersytecie Łódzkim. A chciano mnie zeń w ogóle wyrugować. Że jednak skończyło się tylko — i to do czasu — na likwidacji Katedry Teorii Literatury, jest to zasługą niezwykłego w swej mądrości i szlachetności prof. dra Jana Szczepańskiego, wówczas upatrzonogo na rektora Uniwersytetu Łódzkiego. Otóż jako warunek przyjęcia tej godności postawił on pozostawienie mnie w Uniwersytecie w charakterze wykładowcy — zwłaszcza literatury powszechnej czy też literatury zachodnioeuropejskiej. Ale po paru latach przywrócono Katedrę Teorii Literatury i — co więcej — nie tylko niebawem uczczono mnie jubileuszowo, ale dozwolono mi, bez zastrzeżeń, rozbudować ją na trzy zakłady, a mianowicie — jak już wspomniałam — na Zakład Teorii Literatury, na Zakład Teorii Dramatu i Teatru oraz na Zakład Filmu i TV, a następnie przekształcić Katedrę w Instytut.

Ale zanim jeszcze doszło do likwidacji Katedry Teorii Literatury i mnie razem z nią, a więc do niedosłej ostatecznie katastrofy życiowej mojej rodziny, tak się złożyło, że zaczęłam się intensywnie interesować zmianami w czasie — a niekiedy i równoczesnymi — w pojmowaniu literatury i to nie zawsze w zgodzie z logiką historii, co pociąga za sobą zmiany w tej teoretycznej koncepcji, a w konsekwencji domaga się zmienności zasad badawczych. Często, ale bynajmniej nie zasadniczo, zmiany teoretycznej koncepcji literatury nie następują wyłącznie po sobie w kolejności czasowej, ale ujawniają się żywotnie na jednym przecięciu w czasie. Stąd należy je pojmować jako kierunki zarówno żywotnej poetyki i poezji, jak i też w planie badań literackich, gdzie również dobrze pojawiają się tokiem narastającej w czasie literatury, jak w walce ze sobą — równocześnie. Otóż owe kierunki, ich stosunek do konkretnej literatury i — ewentualnie — także do siebie wzajemnie, szczególnie mnie wówczas zainteresowały badawczo. Zamierzyłam ująć ten temat w dwa tomy pod tytułem *Systematyka głównych kierunków w badaniach literackich*. Tom I, o stronach 315, wydany został przez Łódzkie Towarzystwo Naukowe w roku 1948. Treść jego otwierało omówienie „Filologii”, a zamknęło ją omówienie „kierunku historyczno-literackiego, historii literatury i właściwego kierunku historyczno-literackiego”. Ale cóż? Książka nie była do nabycia w księgarniach. Nic też dziwnego, że recenzyjne jej echa ograniczyły się do dwóch wypowiedzi, a to prof. Juliusza Kleinera w „Tygodniku Powszechnym” oraz — za granicą — prof. Manfreda Kridla, a to w „The American Slavic and East European Review”.

Wprawdzie idea monograficznego opracowania kierunków w badaniach

literackich nie przestała mnie nękać, ale zadowalałam się omówieniami tego czy innego kierunku tylko w poszczególnych rozprawach. Gdy jednak w sporo lat później, bo w 1984 roku, otrzymałam propozycję ze strony Państwowego Wydawnictwa Naukowego powierzenia mi do publikacji książki o kierunkach w badaniach literackich, z radością się temu poddałam. To i owo włączyłam do niej z owej swojej dawnej, zapomnianej książki; tej nowej nadałam tytuł: *Kierunki w badaniach literackich. Od romantyzmu do połowy XX w.* Poszczególne w niej rozdziały zostały skupione w wielorozdziałowych pięciu częściach. Część pierwsza obejmowała *Kierunki-romantyczne i przedmarksowską rosyjską szkołę realizmu*; część II — *Kierunki pozytywistyczne i naturalistyczne, krytykę subiektywną i kierunki postpozytywistyczne*; część III — *Orientacje poetocentryczne i kulturocentryczne w I połowie XX wieku*; część IV — *Orientacje ergocentryczne*, i ostatnia część V — *Badania Marksistowskie*. Książka ta została życzliwie przyjęta przez krytykę, a młodzież studiująca literaturę uważa ją na ogół za pożyteczną.

Naukowa moja pasja dla teorii literatury nie ograniczała się bynajmniej w wypowiedziach do jej tylko poświęconych książek i do tomów w ich cyklach. Problematyka teoretycznoliteracka, zwłaszcza o charakterze nowatorskim, domagała się ode mnie przede wszystkim jej poświęconych rozpraw i rozprawek publikowanych u nas w Polsce po polsku, a później także często za granicą — w językach obcych. A domagała się dlatego, że w tej postaci mogła łatwiej wywołać cenną naukową replikę. Zresztą — wprawdzie nie zawsze, ale często — owe rozprawy i rozprawki trafiały wtórnie do moich książek zbudowanych właśnie z takich rozpraw. Znamienna pod tym względem jest moja książka pt. *Szkice z zakresu teorii literatury*, wydana w 1932 roku, w której dominują rozprawy dotyczące pasjonującej mnie ówczesnie tzw. literatury stosowanej. I równie znamienna jest moja ostatnia książka która przynajmniej w połowie poświęcona jest problematyce teoretycznoliterackiej — książka pt. *W orbicie literatury — teatru — kultury naukowej* — wydana w 1985 r. przez Instytut Wydawniczy PAX — a odznaczona Nagrodą Narodowej Rady Kultury w 1986 r.

Specjalizacja naukowa w teorii literatury nie jest prosta, nie jest — powiedzmy — „jednoprzmiotowa”. Nie da się potraktować jako coś, co przypomina jakby pewną sumę dotyczących jej przedmiotów, czegoś jakby słownika przynależnych do niej pojęć. Stanowi ona konsekwencję nadrzędną wiedzy o literaturze, a ściślej: o literaturach. Ma przecież u swego fundamentu solidną wiedzę nie tylko o literaturze jednego kraju, powiedzmy: ojczyny badacza, ale jak najszerszy krąg różnojęzycznych literatur — i to dwojako uporządkowanych. Nie tylko w kształt sumy różnych literatur ani w kształt zbliżonych do siebie wyborem jakichś przynajmniej literatur poddanych porównaniu — i — ewentualnie doprowadzonych w ocenie do wniosku o charakterze ich i wartościach. Czyli teorii literatury musi mieć

u swych podstaw znajomość historii literatury — i powinna o tym świadczyć przez twórcze wypadki badawcze na grunt historyczny literatury i wielu literatur — zwłaszcza w ich wzajemnych podobieństwach i osiągnięciach. Otóż te szczególne komplikacje i zależności, te historyczne na różnych gruntach „przejawy” literackie — to była droga, jaką wyznaczył mi czas historyczny moich studiów uniwersyteckich dla dotarcia do swoistego szczytu, jakim jest nadrzędna genetycznie nad wiedzą o literaturze — teoria literatury.

Jako studentka studiowałam — jak już wspomniałam — literaturę polską i literaturę francuską — a to z wglądem badawczym także do innych literatur romańskich; z czasem nie brakło w licznych moich rozprawach wglądów w literaturę niemiecką, angielską, a sporadycznie także w literatury inne; zdarzały się nawet takie rozprawki, jak ogłoszona w 1959 roku rozprawka: *Imaginacyjny opis Wieliczki w poemacie Erazma Darwina*. Niewątpliwie jednak najwięcej spośród wszystkich literatur absorbowała mnie literatura polska. I to w zakresie swych szczytów. Wykładnikiem tego faktu była nie tylko moja pierwsza książka — z doby studenckiej — poświęcona Słowackiemu, ale i druga, wydana w roku 1934, poświęcona Mickiewiczowi pt. *Rozwój wątków i obrazów w twórczości Mickiewicza*, paralelna tematycznie z poprzednią, lecz na innej zasadzie konstrukcyjnej. Bytując na szczytach polskiego romantyzmu — jakby zgodnie ze swoim mistrzem prof. J. Kleinerem, nie zabrakło mi także książki poświęconej Krasińskiemu. Jest nią wydana w 1959 roku książka — monstre — bo zawiera aż 616 stron i tablic 36. Poświęcona *Nieboskiej Komedii* jest ona równocześnie i przede wszystkim wkładem do historii teatru — głównie w Polsce, ale także i za granicą; niewątpliwie znajdują się tu pewne luki, ale także i ich późniejsze dopełnienia w rozprawach zebranych między innymi w tomie *W kręgu romantyków polskich* (1966, ss. 490), gdzie znalazła się także ogłoszona w roku 1959 rozprawa: „*Inscenizacja „Nieboskiej Komedii” w Leningradzie*”. Uporczywie jednak powracałam w zakresie historii literatury zwłaszcza do Mickiewicza; i to nie tylko w licznych rozprawach, ale także w jeszcze jednej o nim książce, a mianowicie w wydanej przez Łódzkie Towarzystwo Naukowe w 1964 r. książce pt. *Mickiewicza „Historia przyszłości” i jej realizacje literackie*. (ss. 200, tablic XIV). Nie jest mi znana żadna z niej recenzja, bodaj iż uległo zahamowaniu jej rozpowszechnienie. Wówczas przyszło mi na myśl, iż uczyniono to z kurtuazji dla profesora S. Pigonia, z którym w tej książce w pewnej sprawie się nie zgodziłam, acz w formie — zaiste — dwornej.

Oczywiście jako historyk literatury polskiej nie ograniczałam się do naszych największych, ani do omawiania odnośnych do nich spraw w języku polskim; sporo rozpraw, dotyczących naszej literatury, ukazało się także w języku francuskim, niemieckim, również w językach angielskim i rosyjskim, nie brakło języka węgierskiego oraz czeskiego. Jak już o tym wspominałam, nie zabrakło w moim dorobku jako historyka prac poświęconych

więconych pozapolskim literaturom, poczynszy od najbliższej mi literatury francuskiej. Sporo takich moich prac — prac dotyczących literatur poza-polskich, a także ich związków z polską kulturą literacką — ogłoszonych zostało za granicą, a to bądź w czasopismach, bądź w księgach pamiątkowych „ku czci...”; sporo ich ukazywało się w moich książkach „zbiorowych” jak między innymi w książce wydanej w roku 1975 pt. *Pomiędzy historią a teorią literatury* lub wcześniej: *Wokół teatru i literatury. Studia i szkice* (wyd. 1970, ss. 366).

Ale teoria literatury nie tylko opiera się o samą historię literatury, a to w rozmaitych jej odmianach i odniesieniach. Opiera się także — i to nie tylko pośrednio poprzez podglebie naukowe tejże historii literatury we wszelkich jej precyzjach, ale także, i to nierzadko, bezpośrednio w swej tematyce naukowej na potężnej w humanistyce dyscyplinie naukowej, jaką jest językoznawstwo. A w dodatku musi się liczyć teoria literatury z tą właśnie lingwistyczną specjalizacją naukową, bo ona to głównie powołała do życia — i to w kulturze naukowej europejskiej, bo w antyku greckim i łacińskim — swoistą dyscyplinę naukową (ewentualnie: poddyscyplinę naukową), jaką jest przede wszystkim stylistyka, a z jej rozgałęzień wspomnieć tu można i wersologię. Tak więc teoria literatury zarysowuje się nam jako wyniosła kopuła nad szeregiem odnośnych do literatury nauk, dyscyplin i poddyscyplin. Reprezentuje ona nie jakiś zbiór zjawisk literackich, nie jakąś ich prostą sumę, ale żywotność tychże zjawisk — w rozkwicie i przemianach. Dlatego nie operuje ona — względnie nie powinna operować — niezmiennymi dogmatami. Jest więc jedną z nauk o życiu, a nie o niezmienności, o skamieniałości obiektu, którego dotyczy, a który przecież — powtórzmy — załamuje się także rozmaicie w czasie i w doświadczeniach różnych odbiorców.

Wydaje mi się, że z tych właśnie, bardzo nieprostych względów, twórcza uprawa teorii literatury jest sprawą skomplikowaną i trudną; wymaga wielostronnej erudycji, a także uwrażliwienia na subtelne nowatorstwo w poetyckiej twórczości różnych wieków, różnych krajów, twórców w bardzo różnych sytuacjach historycznych i życiowych. Można by nadal — i to w kilku kierunkach — rozszerzać różne aspekty zależności teorii literatury, a to w zależności od spojrzeń na różne strony samej istoty literatury. Mogą dać o tym pojęcie już tu wymienione aspekty, a więc wypowiedzi, które nie są przecież rozprawą o naturze i źródłach teorii literatury. Niemniej naukowe zadumanie o tych sprawach wydaje się być warunkiem rzetelności, a więc sumienia literaturoznawcy. Nic zatem dziwnego, iż w wykładach, jak i w kontaktach dyskusyjnych z młodzieżą uniwersytecką wyglądało się raz po raz w te głębie istotnych ostępów.

Zaangażowanie się w pracę nie tylko aktualnie ważką nie ograniczało się w tych czasach do spraw nauki, a tym bardziej do spraw własnej dyscypliny naukowej. Zgodnie z wielką tradycją Polski, zwłaszcza Polski

w rozbiorach, nie było innej legitymacji dla służby ojczyźnie jak poprzez zaangażowanie w idee i w trudy społeczne. Jak to już było wspomniane, po paru latach podejmowania przez przeciwników prób dokuczliwych, acz w rezultacie mało skutecznych, do odsunięcia w mojej osobie „przeciwnika” ponoć ideowo-politycznego, doszło do równouprawnienia nas wszystkich w działalności patriotyczno-społecznej. A w dodatku wspólnota w działaniu społecznym w Łodzi jeszcze na pierwszym etapie powojennym zdołała swymi osiągnięciami odebrać skuteczną „srogość” etapowi następnemu, jak i osiągnięciami z etapu pierwszego zbudować podłoże kolejnych etapów po owym etapie: „contra”. W pierwszym przecież powojennym etapie Łódź fungowała po części jak namiastka stolicy-Warszawy, znajdującej wówczas w gruzach. I zaczęła się rozrastać nie tyle od strony licznych domów mieszkalnych, lecz przede wszystkim — i to skutecznie — od strony szkolnictwa wyższego i najwyższego, które ściągało nowych mieszkańców — patronując i z tej racji nad rozbudową potężnych gmachów. Powstał nie tylko Uniwersytet Łódzki, ale i Akademia Medyczna oraz Politechnika. Powstały szkoły wyższe wszystkich, a różnych sztuk, czym może się pochwalić ani odbudowana Warszawa ani dostojna, pradawny Kraków. Nic więc dziwnego, iż Łódź bądź organizowała wówczas działalność kulturalną ważką dla całej Polski, bądź nawet w kontaktach z zagranicą. Dawny przemysł wytwórczy bynajmniej nie upadł, zrosł się swoiście w jedność z kulturą polską i przynajmniej częściowo ze światową. Rozszerzyły się kontakty Łodzi ze światem. Rozszerzały się współtwórcze i twórcze style własnym.

Jeśli akcentujemy tutaj rozwój kulturowy Łodzi i jej w tym względzie awans, wykraczający nawet poza ramy naszego państwa, to dlatego, iż fakt ten nie był bierny wobec osób zdolnych do wybicia się także poza ramami własnej ojczyzny. Wyraziście poczuł się — zwłaszcza po wojnie — kulturowy kontakt naszej Łodzi także z pozapolskim szerokim światem, kontakt wyrażający się zarówno współpracą łódzkiej nauki i łódzkiej sztuki także z owym pozapolskim światem, jak i ze światowym uznaniem dla tej współpracy. Otóż ten stan rzeczy nie pozostał bierny także w stosunku do mnie, do moich zatrudnień zarówno ogólnospołecznych, jak i naukowych.

Po szeregu różnorodnych podniet do pracy naukowej i społecznej, którym zawdzięczam różne osiągnięcia, nie zabrakło owej ostatniej dla mojej postawy twórczej podniety, jaką była w toku dwóch dziesiętek lat podnieta twórczego współdziałania w zakresie współpracy naukowej i społecznej z szerokim światem, zarysowującym się jako jedność wspólnoty ludzkiej. Warto podkreślić — ze wzruszeniem — iż niekiedy inicjatywę do tej wspólnoty dawała Polska, a bywało, iż w niej i Łódź.

Trudno tutaj dać pełny wykaz owych działań w imię i dla dobra wspólnoty ludzkiej, choćby tylko na gruncie literatury. W imię auto-

biograficznych „zeznań” może warto przypomnieć mój udział w dyskusji na Międzynarodowej Sesji Naukowej PAN na temat: *Adam Mickiewicz 1855—1955* (1958)⁴. Warto może powtórzyć wspomnianą już poprzednio sprawę założenia w Łodzi międzynarodowego czasopisma „Zagadnienia Rodzajów Literackich — Woprosy Literarnych žanrow — Les Problèmes des Genres Littéraires” czasopisma, które pozyskało uznanie w całym świecie, a to dzięki publikacji prac wybitnych uczonych oraz rozległości jego autorskiego zasięgu, bo zasłużyło się w Europie, Azji, Ameryce, Afryce, Australii. A dalej warto zaznaczyć z osobistego względu moje członkostwo w Komitecie Nauk o Literaturze PAN (1961 r.); uczestnictwo w Belgradzie na Kongresie AILC (1964 r.)⁵, uczestnictwo z referatem jako delegata Łodzi w Kongresie Kultury (1966 r.); przemówienie na uroczystości jubileuszowej J. Zawieyskiego w Warszawie (1967 r.); udział w Konferencji AILC w Budapeszcie (1968 r.); udział w Międzynarodowym Kongresie Sławistów w Pradze; przewodnictwo Komisji Poetyckiej i Stylistyki Słowackiego międzynarodowego Komitetu Sławistów (1970 r.); przewodnictwo i organizacja konferencji naukowych tegoż Komitetu Sławistów w Warszawie (1972 r.), tegoż Komitetu w Tihany (1974 r.), a także w Lipsku (1976 r.).

W tych źródłach sycających człowiecze pragnienia pod adresem przeszłości uderza to, iż jakby te właśnie społeczne ośrodki przygotowywały wówczas szczególnie ów czas, który miał nadejść. I który nadszedł. Wiadomo, walka o pokój, o rozbrojenie, opieka nad dziećmi i młodzieżą stała się hasłem dzisiejszego dnia, przygotowanym wczoraj. I jakoś trafiającym nawet do naukowych prac literackich — wczoraj i dzisiaj. Bo niewątpliwie naukową treść ideową współbudują takie właśnie nastawienia, programy, poczynania. Im to i ja zawdzięczam pewne aspekty ostatnich moich prac naukowych. Mam tu zwłaszcza na myśli swoją — jakżeż nagrodzoną mi przez nasze władze uznaniem — książkę pt. *W orbicie literatury -teatru — kultury naukowej* (1985 r.). Zapragnęłam dać w niej wyraz nie tylko pewnym poglądom dotyczącym teorii teatru, ale także ujęciu w literaturze człowieka także w jego wiarach i wizjach pośmiertnego istnienia, a przede wszystkim — w ostatniej części książki — ukazania miłości dla Polski uczonego francuskiego — Francka — Louisa Schoella w jego spojrzeniu na polską kulturę w świetle europejskiej i w historii; i nie tylko w spojrzeniu na jej kulturę, ale także na jej losy, aktualne losy: podjął się on podczas ostatniej wojny roli obrońcy Polski przed jej deptaniem przez Niemców, Polski pozbawionej wówczas możliwości samoobrony, w tym względzie.

⁴ Korzystałam częściowo z danych wymienionych powyżej książki; pamięć niekiedy zawodzi.

⁵ AILC to skrót nazwy: Association Internationale de Littérature Comparée.

Stał się tą swoją postawą modelem człowieczeństwa wysokiej — może najwyższej rangi⁶.

A tym stwierdzeniem można podnieść aż do wyżyn glorii walor natchnień, które życie w swym bogactwie poddaje uwadze i rozwadze badacza literatury, walor nie obojętny także z perspektywy teorii literatury...

C. Skwarczyńska

У ИСТОЧНИКОВ НАУЧНОЙ АВТОБИОГРАФИИ

1. Детство и отрочество в Струмилловой Каменке и Польской Домбрувке. 2. Учеба в гимназии в г. Новый Сонч. 3. I Мировая война и перерыв в учебе. 4. Дальнейшая учеба в школах Нового Сонча и Санока. 5. Аттестат зрелости и начало учебы на факультете романистики и полонистики Львовского университета. 6. Просеминар и семинар проф. Ю. Клайнера. 7. Первая научная публикация „Эволюция образов у Словацкого”. 8. Защита кандидатской диссертации во время учебы. 9. Работа в Станиславувской гимназии и дальнейшая учеба. 10. Годовое пребывание в Варшаве. 11. Возвращение в Станиславув. 12. Кристаллизация научных заинтересованностей в области теории литературы — литературная генология и ее отношение к нелитературной генологии. 13. Публикация Теории письма. 14. Переезд в Лодзь и деятельность в Лодзинском отделе „Вольной Вшехници Польской” и основание ежегодника „Полонистические работы”, функция главного редактора. 15. Защита докторской диссертации во Львовском университете в области теории литературы. 16. Преподавание во Львовском университете и профессура в Лодзинском отделе Вшехници Польской. 17. Продолжение изучений в области истории и теории литературы. 18. II Мировая война и пребывание во Львове. 19. Освобождение и возвращение в Лодзь. 20. Организация Лодзинского университета и заведование кафедрой литературы. 21. Преподавание в Государственной Высшей Театральной школе. 22. Организация Института теории литературы и театра. 23. Издание международного журнала „Вопросы литературных видов”. 24. Публикация I и II тома „Введение в науку о литературе”, том III — в 1965 г. 25. Начало издания многотомного труда „Теория литературных изучений за границей”. 26. Временная ликвидация Кафедры теории литературы. 27. Издание коллективной работы „Вокруг теории и истории литературы” — 1970 г. и „Между историей и теорией литературы” — 1975 г. 28. Издание в 1985 г. работы „На орбите литературы — театра — научной культуры”, награжденной Наградой Национального Совета Культуры.

S. Skwarczyńska

The Autobiography of a Scholar

1. Childhood and youth at Kamionka Strumiłłowa and Polish Dąbrówka; 2. Studies at the grammar school at Nowy Sącz; 3. World War I and an interruption in education; 4. Further studies in the school of Nowy Sącz nad Sanok; 5. Leaving grammar school

⁶ Uniwersytet Łódzki obdarzył go zaszczytem doktoratu „honoris causa”. Zadecydowała o tym jego iście bohaterska pro-polskość, a przy tym także jego znakomity przekład — i światowa apoteoza — *Chłopów* Reymonta.

and starting studies of Polish and French literature at University; 6. Proseminar and seminar with Prof. J. Kleiner; 7. First publication under the title *The Evolution of Images in Slowacki*; 8. Doctorate during the studies; 9. Teaching in the Stanislas secondary school and further studies; 10. A year-long stay in Warsaw; 11. Return to Stanisławów; 12. The clarification of interest in the theory of literature — the literary geneology and in relation to the non-literary geneology; 13. Publication of the *Theory of Letters*; 14. Transfer to Łódź and activity in the Łódź section open Polish University (Wolna Wszechnica Polska) — foundation of the annual „Prace Polonistyczne” (Studies in Polish Literature) and assumption of the part of its editor; 15. Examination for the degree of professor in the theory of literature at Lwów University; 16. Courses at Lwów University and the past of professor in the Łódź section open Polish University; 17. Continuation of studies in the history and theory of literature; 18. World War II and a stay in Lwów; 19. Liberation and return to Łódź; 20. Organization of Łódź University and assumption of the Chair of Literature; 21. Courses at the State Higher School of Drama; 22. Organization of the Institute for the Theory of Literature and Theatre; 23. Editing of the international journal „Zagadnienia Rodzajów Literackich (Problems of the Literature Genres)”; 24. Appearance in print of volumes I and II of the *Introduction to the Sciences of Literature* — vol. III in 1965; 25. Initiating of the many-volume edition of the book *The theory of Literary Studies Abroad*; 26. A temporary liquidation of the Chair of the Theory of Literature; 27. Publication of the collective works *Around the Theory of Literature* — 1970 nad *Between the History and Theory of Literature* — 1975; 28. Edition in 1985 of the work *Witihin the Orbit of Literature — Theatre — Scientific Culture*, the book awarded the Prize of National Council of Culture.

